

Dariusz Kaczmarek

# OBOK NAS

1933 - 1945



Dariusz Kaczmarek

# **OBOK NAS**

1933 – 1945

Dariusz Kaczmarek

# **OBOOK NAS**

**1933 – 1945**

Zelów 2014

**Czesławie Kaczmarek -**  
*mojej kochanej Mamie –  
poświęcam*

## Wprowadzenie

### Drodzy czytelnicy

Według definicji przeszłość to część czasoprzestrzeni, w której zawarte są wszystkie wydarzenia, które miały już miejsce.

Każda mijająca chwila przechodzi do przeszłości. Mijają dni i lata. Upadają rządy i giną cywilizacje. „Panta rhei” – powiedział filozof Heraklit z Efezu – „Wszystko płynie” – wszystko przemija. To od nas zależy, czy będziemy pamiętać o tym, co minęło. Uczyć się na doświadczenia tych, którzy żyli przed nami, którzy przeżyli swoje życie obok nas, tylko w innym czasie.

Niniejsza książka oparta jest na wspomnieniach tych osób. Ludzi, którzy tak jak my, mieli swoje troski i marzenia, którzy śmiali się i płakali, jak my, rodzili i umierali, kultywowali swoją wiarę, zwyczaje i tradycje.

Książka nie jest pamiętnikiem. Nie należy jej tak traktować. Nie jest też dziennikiem spisywanym na „żywo”. Jej treść w dużej mierze powiązana jest z wydarzeniami historycznymi, ale jest w niej także nutka fikcji literackiej. Można więc powiedzieć, że jest to powieść historyczno-obyczajowa.

Starłem się, jak najlepiej udokumentować przywoływane fakty i przekazać je w formie przystępnej dla czytelnika, zdając sobie jednocześnie sprawę z istniejących ograniczeń i swojej niewiedzy w tym zakresie.

Moi bohaterowie, mimo że istnieli, to jednak nie zawsze ich życiorysy splatały się ze sobą w rzeczywistości. Dlatego z pewnością znajdują się osoby, które powiedzą: „to nie było tak...”

Przypominam jednak, że nie jest to podręcznik do nauki historii.

Książka opisuje życie codzienne mieszkańców Zelowa i okolicznych wsi w czasach nie tak odległych, bo żyją jeszcze świad-

kowie tych wydarzeń. Ich relacje często różnią się od siebie. Zawodzi pamięć, spojrzenie na dane wydarzenie było inne lub oparte tylko na relacji pośredniej.

Moją intencją było też zapoznanie czytelników z kulturą, tradycjami i zwyczajami tej wielonarodowej i wielokulturowej społeczności w okresie przed II wojną światową i w jej trakcie. Z atmosferą tamtych dni. Dni terroru, wrogości i prześladowań.

Wiele faktów dało się odtworzyć na podstawie istniejącej literatury lub pozyskanych przeze mnie dokumentów, jednak w niektórych przypadkach nie było to możliwe, a przynajmniej nie teraz i nie w tak krótkim okresie czasu, jak napisanie tej książki. Śledzenie historii ma to do siebie, że niemal, co dzień wychodzą na jaw nowe dokumenty, nowe informacje prostujące lub zmieniające całkowicie istniejące wcześniej przekazy.

Życzę miłej lektury, liczę na to, że choć w części spodoba się państwu to, co napisałem.

**Autor**

Część pierwsza

**Oaza spokoju**

**D**zień 11. sierpnia 1933 roku zapowiadał się słoneczny i gorący. Na szosie prowadzącej ze Szczercowa do Łasku było cicho i niemal pusto. Jedyne wyladowana po brzegi kuframi i walcami furmanka, ciągnięta przez lichą kobyłę, toczyła się powoli, podskakując na wybojach.

Woznica, powoząc, siedł z boku, jakby chciał zaoszczędzić kniołowi dodatkowego ciężaru.

– Nu, konik! Masz dość siły – powiedział nagle. – Taka twoja praca. Tobie ciężary ciągnąć, mnie żyć, innym cholewki przybić. Każdy ma swoje zadanie na tym świecie. Mnie za pracę dobra zapłata – tobie obrok i czysta woda. Nu! Ciągnij konik.

Mężczyzna w siłę wieku, z brodą i pejsami, z lekko przyprószonymi siwymi włosami, ubrany był w białą, płócienną koszulę z zawiniętymi rękawami i kamizelkę. Na głowie miał czapkę z niewielkim daszkiem.

– Taki twój los – kontynuował mowę do konia. – Każdy ma swój los od Boga przeznaczony. Nikomu nie jest lekko – zduł się chwilę, a patrząc na kobietę siedzącą na wozie, dodał:

– Uj! Rachelu. Nie płacz. Może cię wiele złego spotkało, ale nie płacz – kobieta raz po raz wycierała rękawami łzy płynące po jej twarzy.

– Nie płacz. Co Bóg da, to będzie. On wie, co robi. Widocznie On ma w tym jakiś interes, że to nasze życie odmienia. Mnie wcale nie do płaczu w tym naszym nieszczęściu, choć wiem, że na początku trudno będzie, ale przecież mam swój fach. Nie płacz – powiedział łagodniej, chcąc dodać żonie otuchy, chociaż sam nie wiedział, co nowe przyniesie.

– Ach, mame! My pomożemy – odezwały się niemal jednocześnie dwa głosy.



Dwunastoletni, bosi i lichy ubrany chłopak – Dawid, trzymając ręką czapkę na głowie, zeskoczył z wozu i podbiegł do ojca.

– Tata! Mogę powozić? Sarcie już próbowała – to mówiąc, zerknął na siedzącą koło matki, starszą o cztery lata siostrę.

– Bierz – ojciec podał mu lejce. – Tylko równo i nie poganiaj. Dostyć jemu ciężko.

Chłopak z zadowoleniem przejął powożenie. Szedł teraz wyprostowany i dumny.

Po obu stronach drogi widać było rowy i doły wypełnione częściowo wodą. Nieco dalej, pola suszących się w porannym słońcu torfowych „placzków” i robotników ustawiających torfowe cegły w stopy.

– Dobrze, że graty przewiozłem wcześniej, torf i drewno też są już w komórce, a i kawałek strycho mamy dla siebie – mówił dalej Salomon, kontynuując przerwana wcześniej mowę. – Jutro Szabas<sup>1</sup>. W poniedziałek wywieszam szydło i do roboty. Interes, to interes, czekać nie może. Trzeba dużo pracować i rękami, i głową, i nogami, a czasem własnym grzbietem, ale przede wszystkim głową. Jak dobra głowa, to interes kwitnie – rozważał głośno, układając plan na następne dni. – Słyszysz, Rachela? Do roboty – powtórzył radośnie zacierając ręce i spoglądając na żonę, która co prawda przestała już plukać, ale siedziała przygarbiona i smutna.

Sara położyła głowę na kolanach matki.

– Mame! Przygotujemy dzisiaj taki Szabas! Taki kugiel z kiszką<sup>2</sup>. Taki dobry, że... Tate bardzo lubi kugiel i jeszcze gefilte fish<sup>3</sup> lubi.

– Dobrze już, dobrze, poradzimy sobie – uśmiechnęła się matka.

<sup>1</sup> Szabas – przeznaczony na odpoczynek, święto dzień żydowskiego tygodnia

<sup>2</sup> Kugiel. Zaczyna się w piątek, po zachodzie słońca

<sup>3</sup> Kugiel z kiszek – ziemniaki zapiekane z mięsem w kiszonej rybce

<sup>4</sup> Gefilte fish – polpety rybne

– Tam teraz będzie nasz dom. Do naszego spalonego nie ma już po co wracać – pogłaskała córkę po głowie.

– Tata! Widać dwór w Krzeszowie – oznajmił chłopak, odwracając głowę w kierunku idącego za nim ojca.

– Jedź szosą na Pożdżenice – ojciec wskazał ręką kierunek jazdy, a widząc koło dworu konie, dodał: – Piękne ma konie reb<sup>4</sup>! dziedzic! Szajne koniki! – cmokał i zachwycił się stadem koni, które stajenny chłopak prowadził na popas.

Dalej droga biegła w pobliżu gęsto postawionych chałup i ludzi krzątających się w obejściach. Nie brakuwało też ciekawskich, w milczeniu przypatrujących się przybytkom.

Rodzina Berkowiców zbliżała się do swojego nowego domu – Zelowa, a właściwie mieszkania, które wynajęli w kamienicy, przy Rynku. Jechali powoli, rozglądając się dookoła. W miarę zbliżania się do celu podróży, coraz wyraźniej słyszeli jednostajny szum, który powoli narastał, przechodząc w rytmiczny stukot.

Byli już blisko. Salomon przejął powożenie. Wjechali przez bramę do jednej z kamienic w asyście wrzeszczących, rozbieganych dzieci i ujadających psów.

– Nu! Stój konik! Prrr... – Salomon zatrzymał konia na dużym podwórzu.

Właściwie były to dwa podwórka – dwóch kamienic stojących u zbiegu ulicy Kilińskiego i Rynku. Na środku rosła duża lipa. Nieco bliżej było studnia. Od niej, przez całe podwórze i dalej wzdłuż murów przechodził mały rowek, do którego wylewano potnyje z kuchni i pralni, znajdującej się tuż przy ustępach.

Dzieci biegały ciągle wokół wozu, czyniąc olbrzymi rejwach.

– Po co przyjechaliście? Będziecie tu mieszkali? A gdzie? Po Adamczewskim?

<sup>4</sup> Reb – zwrot grzecznościowy, za pomocą którego zwraca się do starszych mężczyzn

Salomon nie odpowiadał na pytania, tylko zwrócił się do rodziny.

– Jesteśmy!

Nagle spostrzegł kilku starszych Żydów, siedzących na ławce pod murem.

Uklonił się nisko.

– Szalom Aleichem<sup>2</sup> – powiedział głośno.

– Szalom – odpowiedzieli powoli, kiwając głowami.

– Nu! Koniec drogi! – Salomon zwrócił się ponownie do kobiet, które siedziały wciąż na wozie, jakby nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić, ale kiedy chwycił pierwsze tobołki i postawił je na ziemi, zeszły z wozu i zaczęły pomagać.

W pewnej chwili do Dawida wypakowującego dobytek podbiegli jaśnowłose, dwunastoletni chłopiec.

– Jestem Franek! – oznajmił. – Ten od Szukdlarków, bo tu jest trzech Franków: ja, Franek Zatorskich i jeszcze od Chojnickich, ale ten jest jeszcze mały – wymienił jednym tchem.

– Jestem Dawid – wyciągnął rękę na powitanie.

Franek przywitał się i mówił dalej:

– A w ogóle, to grasz w piłkę? Bo my tu gramy. Mamy takie, no swoje... takie rozgrywki. No wiesz, bo o nas Czesi, Niemcy, Żydzi, no... i my Polacy, czasem też przyjeżdżają Cygany, to też z nimi gramy. No, co? Grasz trochę? Bo ja to najlepiej wolę w ataku.

– Trochę graliśmy w Szczercowie – odpowiedział niepewnie Dawid, przerywając pracę.

– Nu! Dawid! Najpierw manek! – powiedział ojciec i spojrzał surowo na syna.

– No, dobra! Pogadamy później – rzucił szybko nowy sapał i wybiegł przez bramę na ulicę.

<sup>2</sup> *Shalom Aleichem* – *Pokój z Tobą*.

Tymczasem na podwórku zebrało się więcej osób. Nie brakowało też gapiów, wyglądających przez okna.

– Co tam taki harmider pani Nowakowa? – spytała młoda kobieta, wychylając się z okna na piętrze w kierunku sąsiedniego, w którym widać było równie ciekawą gospodynię.

– Mości<sup>3</sup> przyjechały pani Wróblewska. Cała rodzina. Pewnie to ci, co pod trójką mają mieszkać, po Adamczewskim. Szybko mu się zmarło, szkoda chłopca.

– Widzi pani, pani Nowakowa – odpowiedziała jej sąsiadka – jakby dbał o siebie i nie pił, to byłby chłop żył, a tak, ziemię gryzie – machnęła ręką.

– A bo też pani chłopcy dbają o siebie – ciągnęła dalej rozmowę Nowakowa spod piątki. – Jak się jest samemu na świecie, jak ten palec, to mu się nie chciało, a nie był taki stary, mógł se znaleźć hahe, ale nie chciał. Ile to razy mówiłam mu: Adamczewski! Weź se jaką, to ci wypierze i ugotuje, a ty zarobisz parę groszy, bo fach masz dobry i hedzie wam się żyło, ale machał tylko rękami i mówił, że za stary. Jaki tam stary? Ledwie pięćdziesiątkę skończył – Nowakowa pokiwała głową z żalu, że Adamczewski nie posłuchał jej rad i tak smutno się to dla niego skończyło.

– Ide pani, bo obiad gotuje. Oby tylko te Żydy spokojne były i nadały się na sąsiadów, bo takiego porządnego podwyrka, jak u nas, to mało.

Praca szła szybko i niehawem cały dobytek Berkowiców znalazł się w nowych mieszkaniach. Rzeczy było niewiele, a pomieszczenia skromne. Po pożarze ocalało trochę sprzętów i ubrań, jedzenie, wyposażenie kuchni, ale najważniejsze – ocalało narzędzie pracy Salomona – maszyna do szycia wraz z przeróżnymi materiałami, ścinkami, resztkami skór i całym tym drobiazgiem, bez którego krawiec nie mógłby się obejść. Kiedy skończyli wyładunek, ojciec przywołał syna kiwnięciem ręki.

<sup>3</sup> *Mości* – potoczne o *Żydach*.



– Jadę! Oddam staremu balagule<sup>7</sup>, wóz i konia i zapłacę, co się jemu należy. Wrócę pieszo, więc trochę zejść, ale powiedz mamie niech się nie martwi. Niech robi, co do niej należy.

Słońce było jeszcze wysoko, a szosa ze Szczercowa do Łasku prawie wyludniona, z wyjątkiem Żyda idącego jej środkiem w skwarze letniego popołudnia. Nie rozglądał się na boki. Nie podziwiał piękna otaczającej go przyrody. Szedł zamysłony. Ciągłe miał wątpliwości, czy decyzja dotycząca przeprowadzki w nieznane miejsce była właściwa. Starał się nie okazywać swoich obaw przed rodziną, ale wszystko tam było nowe, obce. „Trzeba będzie zaczynać od początku” – rozmyślał. „Dobrze, że wejście do zakładu będzie od Rynku, łatwiej będzie znaleźć nowych klientów. Bez nich nie będzie grosza i nie wyżywi się rodziny. Pieniądze i trochę kosztowności wyniesione z pożaru nie starczą na długo, a czynsz trzeba płacić i Dawida na nauki do chederu<sup>8</sup> posłać. On mądry chłopak jest. Jak się przyłoży, to będzie miał łez w życiu. Dla Sary trzeba dobrego męża wyszukać. Zawiesić mezuzę<sup>9</sup> i urządzić się. Powiększyć rodzinę, jak Pan Bóg przykazał. Nu! Po kolei! Pan Bóg daje i odbiera. Odebrał dom, bo miał w tym jakiś interes. Teraz dostaniemy drugi. Widocznie tak nam było przeznaczone. Trzeba przyjąć wyrok Boski”.

– Nu, lou! Ja sobie Żyd, ja sobie radę dam – powiedział już głośno i od razu zrobiło mu się łez i radośniej.

Słońce już zachodziło. Kiedy Salomon dotarł do Żelowa właśnie zaczynał się Szabas. Był bardzo zmęczony, ale rażno wszedł do nowego mieszkania.

– Szabas Shalom<sup>10</sup> – powiedział.

Po środku starannie wysprzątanej izby stał stół przykryty białym obrusem. Na nim w świeczniku dwie świece. Na półmisku

<sup>7</sup> Balagula – właściciel wozu i jony wypuszczający konie z wozami.

<sup>8</sup> Cheder – szkoła żydowska.

<sup>9</sup> Mezuz – mały pojemnik, zawierający kawałek papieru z fragmentami Tory.

<sup>10</sup> Szabas Shalom – Spokojnego Szabasu.

pod serwetą leżały dwie duże chały. Zupa i cymes<sup>11</sup> były już na talerzach. Obok stała sól, karafka z winem i kielich kiduszowy<sup>12</sup>. Wokół stołu zebrała się odświętnie ubrana rodzina. Wszyscy uśmiechali się, czekając co ojciec powie. Był to przecież dzień przeprowadzki i nie można było zbyt wiele wymagać od gospodyni.

– U! Wa! Co to za mecyje<sup>13</sup>! – Salomon wydał okrzyk zdziwienia i zadowolenia zarazem. – Pięknie się wy spisaliście!

– Chodź, tato – dzieci podbiegły do ojca, podając ścierkę i wodę do obmycia po podróży.

Stąpali przy stole. Pani domu zapaliła świece. Następnie ogarniając je trzykrotnym ruchem, zakryła oczy i rozpoczęła modlitwę.

„Baruch Ata Adonaj Ełohajnu, Melech ha-olam<sup>14</sup>... – Salomon nalał wina do kielicha i rozpoczął modlitwę: „Bądź błogosławiony, o Panie, nasz Boże, Królu wszechświata, który stworzyłeś owoc winnej latorośli. Bądź błogosławiony, o Panie, który uświęciłeś nas Swymi prawami i w swej miłości dałeś nam dzień Szabaszowy na pamiątkę Swego dzieła stworzenia. Z wszystkich dni świętych, on najświętszy, wskrzeszając pamięć wyjścia z Egiptu, domu niewoli, gdyż Ty wybrałeś nas spośród narodów w Swej miłości dałeś nam dar wielki – ten święty dzień. Bądź błogosławiony, o Panie, który uczyniłeś Szabas dniem świętym. Bądź błogosławiony, o Panie, nasz Boże, Królu wszechświata, który zadbałeś, by chleb ten wyrósł z ziemi”.

Wszyscy obmyli ręce wodą. Na zmianę, trzykrotnie prawą i trzykrotnie lewą rękę. Po odmówionej nad chałą modlitwie,

<sup>11</sup> Cymes – ciż jagnięgo, dzikiego, także deser.

<sup>12</sup> Kidusz – modlitwa nad kielichem z winem podczas Szabasu.

<sup>13</sup> Mecyje – ciż mądrego, doświadczonego, doświadczonego.

<sup>14</sup> Baruch Ata Adonaj Ełohajnu, Melech ha-olam – Bądź błogosławiony Panie Boże nasz, Królu wszechświata, który nas uświęciłeś swoimi przykazaniami i przykazał nam zapalić świece Szabasu.

ojciec umoczył jej kawałek w soli i zjadł. Rachel wystawiła z piekarnika przygotowaną jeszcze poprzedniego dnia faszerowaną rybę i nałożyła po kawałku na talerze, a Salomon rzekł do dzieci:

– Bóg nakazał świętować Szabat, a my słuchamy jego nakazów, bo gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął. Wtedy Bóg pobłogosławił ów siódmy dzień i uczynił go świętym. Po chwili zadumy, dodał: – Jutro idziemy do bóżnicy<sup>15</sup> poklonić się Bogu i prosić rabina<sup>16</sup> o modlitwę za naszą rodzinę.

Pierwszą noc w nowym domu Dawid przespał tak mocno, że nie słyszał gwałtownej burzy, która przetoczyła się nad Zelowem. Nie słyszał też codziennego gwaru, jaki dochodził z ulicy. Dopiero, kiedy Sara przyszła go obudzić, ocknął się i usiadł zaspany na łóżku.

– Sarcie! Śniło mi się, że jestem rabi<sup>17</sup> w Domu Modlitwy i wszyscy przychodzą do mnie po radę.

– I co ty im powiedziałeś Dawid?

– Ja im nic nie powiedziałem Sarcie, bo nie wiedziałem, co im powiedzieć.

– To głupi był ten sen – odpowiedziała siostra.

– Może on nie był taki głupi Sarcie, bo tak myślę, że jakbym wziął się za naukę, to byłbym taki mądry, jak nasz tate i mógłbym każdemu dać dobrą radę.

Zelowska bóżnica stała niedaleko Rynku. Na placu między ulicami Kościuszki i św. Anny. Jej odrzwia były szeroko otwarte dla tłumnie zdążających do niej wyznawców. Wyglądem przypominała drewnianą stodołę lub szopę ze spadzistym dachem.

<sup>15</sup> Bóżnica – żydowski Dom Modlitwy.

<sup>16</sup> Rabin – nauczyciel, męistrz.

<sup>17</sup> Rabi – męistrz (tytuł honorowy).

Była niewielka, jak na potrzeby lokalnej, żydowskiej społeczności. Wnętrze podzielone było na dwie części. Na dole stały drewniane ławy – to miejsce przeznaczone było dla mężczyzn. Kobiety wchodziły po drewnianych schodach do tzw. babińca. Na balkonach, które wychodziły na główne pomieszczenie bóżnicy, uczestniczyły w modlitwach.

W środku, mimo wysokich, zakończonych łukiem okien, panował półmrok. Na stołach stały lichtarze ze świecami do oświetlania wnętrza. Po środku, na Bunie<sup>18</sup>, usytuowany był stół, na którym stała Menora, siedmioramienny świecznik. Według tradycji wyglądał on dokładnie tak, jak jego pierwowzór wykonany przez Mojżesza, zgodnie z instrukcją przekazaną mu przez Boga, a który stawiano przed Arką Przymierza w Świątyni Salomona w Jerozolimie. W świątyni każdy zaniebujący Żyd, miał swoje stałe miejsce. Najbardziej honorowymi były miejsca przy ścianie, gdzie mieścił się Aron ha-Kodesz, najważniejszy element wyposażenia głównej sali. Była to szafa ołtarzowa, służąca do przechowywania Rodła ozdobnej drewnianej skrzynki, w której trzymano zwoje Tory<sup>19</sup>. Przysłonięta była bogato zdobioną, aksamitną kotarą – Parochetem, którą zdejmowano podczas modlitw. Na półkach leżały święte księgi do nauki Talmudu<sup>20</sup> i do modlitwy. Bóżnica była nie tylko miejscem modlitw i nabożeństw, lecz także miejscem studiowania Tory, Talmudu oraz salą zebrań. Na co dzień nad porządkiem wokół domu modlitwy czuwał dozorca. Do jego obowiązków należało także palenie w piecu w okresie chłódów. Mieszkał przy Rynku, tak jak pomocnik rabina. Przy ulicy Kilińskiego 4 mieszkał zastępca rabina, Fajwisz Mordka Uberbaum. Każdy, kto miał do załatwienia jakąś sprawę, kierował się właśnie do nich.

<sup>18</sup> Buma – podwyższone miejsce w centrum bóżnicy, synagogi.

<sup>19</sup> Tora – pięć pierwszych ksiąg Biblii, najważniejszy tekst objawiony judaizmowi.

<sup>20</sup> Talmud – jedna z podstawowych ksiąg judaizmu.

W pobliżu świątyni była studnia oraz jedna z najważniejszych instytucji żydowskiej gminy - mykwa - rytualna kąpielnia, w której Żydzi dokonywali rytualnej kąpieli, zwłaszcza w wigilię święta Jom Kippur.



*Biłel wsiępn do biłelny, biłel biłelny - biłel biłelny.*  
*biłel biłelny biłel biłelny biłel biłelny*

Z wszystkich stron Żelowa podążali Żydzi w kierunku Domu Modlitwy. Mężczyźni szli szybko, czytając po drodze święte wersy. Każdy z nich z nakrytą głową – w kapeluszu lub myce.

Salomon i Dawid weszli do świątyni. Stał tam wtedy pośród tych, którzy nie mieli wykupionej miejscówki. Rachela i Sara podziękowały za innych kobietom do babiraka. Tego dnia rodzina Berkowiczów poświęciła Bogu swoje przyszłe życie w nowym, nieznanym im miejscu.

*Jam Kijów Dzieni Prymorska Jedno z najpiękniejszych i najstarszych miast Ukrainy*

Po nabożeństwie wrócili do domu. Salmón włożył do mezuzy zwitek papieru z wersami Tury, które otrzymał od solera<sup>21</sup>. Miały one zapewne domostwu ochronę przez Hoga. Odmówił błogosławieństwo.

Ciby Wszechnogacy czuwał nad nami      dował i objął swoich  
wzblaszch

Sobotnie popołudnie Dawid postanowił przeznaczyć na przeżanie najbliższej okolicy. Wychodząc z kamienicy natknął się na poznanego poprzedniego dnia Franka.

(Jacek Dawid) usłyszał. Lece pograć w piłkę. Idziesz ze mną?"

— Dziś! Szabas, nie mogę — odpowiadał Dawid. — Może następnym razem.

No dobra, kiedy indziej popatrmy. Teraz ci wszystko pokaze. Chłopek wyszedł na ulicę. Z daleka dobiegał śmiech dziewcząt grających w „klasy” i krzyki chłopców toczących na wyścigi lalki. Co jakiś czas można było usłyszeć piski we głosy raz po raz przelatujących języków. Tuż obok rozległej kałuży pożywność stadka gąsienic, wylizujące spomiędzy bruku różne smakołyki.

Honoriwe miejsce w Rynku zajmował pomnik. Zwieńczony był legionowym orłem z rozpostartymi szeroko skrzydłami i piersiem Tadeusza Kościuszki na cokale. Całość nitczona była betonowymi słupkami, połączonymi grubymi, żelaznymi łanachami i niską ścianką, nitczającą posadzone kwiaty i iglaste drzewka. Wokół Rynku stały wysokie murowane kamienice i nowe drewniane i murowane domy. Całość tworzyła ścisłą zabudowę.

**Water**      **Amount**      **in grams**      **divided**





*Zdjęcie Rynek. Pomnik Tadeusza Kościuszki w dzień uroczystości  
w 1924 r. (w górze) i w 1939 r. (na dole)*

Tu są dobre lody. U Sieradzkiego. Franek wskazał ręką  
w kierunku cukierni znajdującej się obok, pod „czworką”. Mo-  
wie ci pacha. Objęł ją językiem górną wargę, chcąc zaznaczyć  
ul. wyjątkowy smak. Ale dzisiaj nie mam pieniędzy, może ju-  
to coś wykombinuję. Zwykłe mam trochę drobnych, bo ja jestem  
mieszkańcem, służę do maszy u mas w kościele, a jak jest jakiś  
pożarzek to noszę krzyż i ksiądz daje mi za to 50 groszy, żeby mi  
kobie kupić bułki, albo coś innego. Tylko w tym tygodniu jakoś  
ślabo umierało. Franek wyjaśnił księdze powody braku gotówki.

Pokażę ci, gdzie jest kino – kontynuował.

Muszę wrócić na kościół – odpowiedział Dawid.

Chodź, to niedaleko. Nie martw się, zdązysz.

Nzł dalej ul. Św. Anny. Franek wskazał ręką na budynek kina,  
znajdujący się po lewej stronie.

To tu Kino „Corno”. Jak będą wyświetlać dobry film, to pó-  
jdziemy.

Ieszczę nie byłem w kinie – Dawid zrobił smutną minę.

No, to tym bardziej pojedziemy. Mowie ci, fajnie jest. A po  
nowej, ten drewniany budynek pod nr 9, to choder. Tu będziesz  
chodził?

Tam to przyjdę. Jest takie kaze. Za rok Bar Miłwa<sup>4</sup> – dodał  
Dawid.

Zenek Pęgiów będzie miał Konfirmację<sup>5</sup> za trzy lata, a ja  
byłem już u Komuni – wtrącił Franek.

Jaki Zenek?

No, kolega. Mieszka na Krótkaszkę. Razem w ławce siedzi-  
my. On jest Czechem.

<sup>4</sup> Bar Miłwa, dwudziemy dzień postu, dzień żałoby, który zwiódł w czasie Adwenty  
mimo to chętnie się go pełniał w imieniu prawa religijnego.

<sup>5</sup> Konfirmacja – akt pełnej inicjacji przyjęcia Chrystusa Świętego i wyznania wiary  
w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. W tym czasie młodzież przysięga na wierność  
Ewangelii Chrystusa Świętego. Złożenie ślubów przysięgi po raz pierwszy. Archaizm. Święty,  
który nie oddał własnego życia i ciała przed promulgacją Ewangelii, wcielając  
się w człowieka.



Dużo tu Czechów – zauważył Dawid

Bo to czeska osada, ale mieszkamy tu wszyscy razem i razem do szkoły chodzimy i wszyscy mówimy po polsku. Tylko w domach różnie się gada

Naprawdę muszę już wracać. Zaraz kobieja. Kończy się Szabbas.

Obejdziemy wokół – do Żeromskiego a później w prawo, K. lińskiego. Tu wszędzie biako – powiedział Franek głosem swojego byłego oknacy

Po pięciu minutach przechodzili obok kawiarni mieszczącej się na rogu kamienic, w których mieszkali. Przed wejściem stały dwie bryczki i czekały na klientów, którym nagi „admonow po-słuszeństwa” ze środka dochodził przytłumiony gwar i melodia, którą ktoś grał na harmonii.

– No, to do jutra – rzucił Franek. – Już trafisz

I zesz – odwrócił się na pięcie i pognął do bramy wejściem od alicy K. lińskiego.

Po kolejnej nocej burzy niedzienny poranek był rześki

Muze dzisiaj nie będzie już tak gorąco – powiedziała Rachela do córki, otwierając okno

I podwórka dochodziły okrzyki i piski gromadki bosych dzieci, topiących się w kałużach.

Sarcie i trzeba się wziąć do roboty. Ja poukładam w czasie a ty pomóż łacie. Później zrobimy obiad.

Salomon był w drugiej izbie, gdzie panował jeszcze wielki rozgardzisz. Po środku pomieszczenia stała maszyna do szycia. Na stole i wokół niego leżało mnóstwo większych i mniejszych pakunków. Przy ścianie stała pusta szafa, która wyglądała niczym olbrzymia ryba z otwartym pyskiem.

Łacie. Mamie przysłała mi, zeby ci pomogła – powiedziała Sara, wchodząc do pracowni ojca. Gdzie Dawid? dodała patrząc na pustą korytkę stojącą w kącie pomieszczenia. Ojciec odwrócił się w stronę córki. W rękach trzymał rolkę materiału i bezradnie rozglądał się, gdzie by ją położyć.

Dawid? Zaraz on będzie. Pomógł mi przestawić maszynę. Później poprosimy zapisać go do chederu. Sarcie kochana. Poukładaj łaty ten bajzel. Salomon odciął materiał i ręką zaznaczył w powietrzu wielkie koło

Nagle Dawid wpadł do izby, jakby się paliło

Zimno gdzieś ciebie twoje nogi ganiają – powiedział ojciec.

No, hacz! chwycił za brzeg maszyny by przestawić ją pod okno. Będzie dobre światło do szycia – dodał. A teraz ty odetnij swiateczne ubranie. Pojdziemy do chederu, do kierownika pana Wehena lub do melameda<sup>26</sup>

Do szkoły było zaledwie kilka minut drogi. Weszli do środka od strony małego podwórka. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do panującego wewnątrz półmroku, zobaczyli wiszącą na ścianie dużą tablicę z napisem „Szłomej i monej Isroel”



1 kopia dokumentu potwierdzający wydanie zezwolenia na otwarcie w Żelowie prywatnej szkoły żydowskiej

Salomon – nauczyciel w szkole żydowskiej

Salomon i monej Isroel – Centralna Organizacja Żydów Ortodoksa w Polsce



*List Zarządu szkoły do Inspektoratu Szkolnego w Złotowskiej Wsi*

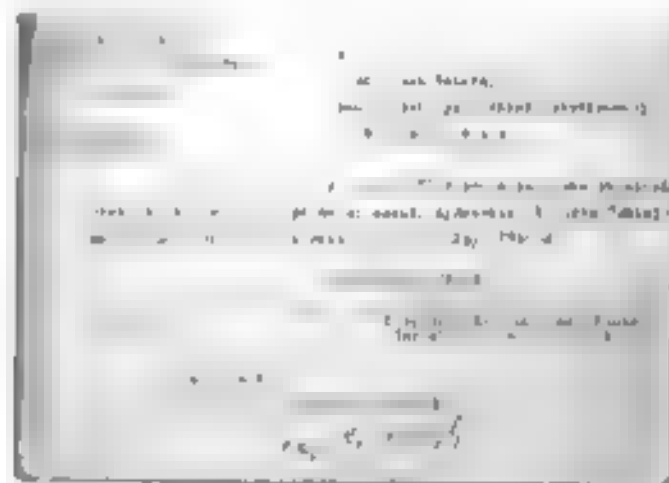
Dalej przeszedł do sali szkolnej przez drzwi, w której młody uczył młodsze dzieci religii. Drzwi do klasy były szeroko otwarte. Pomieszczenie było niewielkie i zapelnione ławkami. Na ścianie wisiało godło państwowe, portret prezydenta Ignacego Mościckiego i portret marszałka Józefa Piłsudskiego. Przy małym stoliku, tuż przy jedynym oknie siedział wysoki, szczupły mężczyzna. Odrzucał on w niezbyt nowy garnitur i krawat. Coś pisał.

Dziś dobry.  
Dziś dobry – odpowiedział kierownik, podnosząc wzrok z ławki i kładąc obok kalamarza przyrząd do pisania.  
Pan Weber? – spytał Sakmion.

Mężczyzna skinął głową.

Proszę o wybaczenie. Przyszliśmy tu, ja i syn, aby zapisać go na nauki. To mówiąc, delikatnie wypchnął Dawida przed siebie.

Chodził do szkoły w Szczercowie, ale piątego oddziału nie skończył, bo w domu pomagał, kiedyśmy się spali. Teraz mieszkaamy tutaj i niech uczy się dalej na chwałę Bożą.



*Prace porządkujące kierownictwo szkoły Janina Webera*

Mężczyzna przewrzał się uważnie przybywcom i po dłuższej chwili powiedział:

Witamy w naszej diasporze<sup>28</sup> i w naszej szkole. Nauczamy tu mediew, Biblii i Talmudu, rachunków i innych przedmiotów.

<sup>28</sup> Inspektorat – rozpraszanie członków danego narodu wśród innych narodów

Dobry i staranny wygląd uczniów. Zwracamy uwagę na obchody święt narodowych oraz dyscyplinę. Czynimy też starania, aby w Żelowie powstała osmoletnia. Powszechna Szkoła Religijna, ale to na razie plany, więc na kolejne dwa lata będzie chodził do Szkoły Powszechniej na Kosciuszki lub na Szkołę. Można być spokojnym. Zajmiemy się synem tak, że wyrośnie na pobożnego, mądrego człowieka. Za rok, wieku zaprzemy go do ostatniego oddziału. Zaczynamy od września.



Chodzi o Kanał Szwedów. W. Szwedów po prostu  
Młoda polistowa polskiego / i wózek polistowy polskiego / Szwedów /  
/ i polistowy polistowy polskiego / Szwedów /

...

Poniedziałek był ważnym dniem dla całej rodziny Salomona. Zakład „Sales” (telian) i stanął twarzą w kierunku Jerozolimy, odświadczył poranną modlitwę. Potem otworzył zakład i usiadł przed wejściem na wysokim stołku. Nie liczył na tłumy, ale i tak na jednego klienta – tak na dobry początek. Ło chwagę zerknął przez otwarte drzwi do środka.

To rusza jedyna żywiołka – myślał o machinie do szycia, która stała pod oknem, gotowa do pracy. Wokół powoli ruszyły się pierwsze konne wozy drożki, ludzie zdążający w różne strony odwiedzić sklepy i zakłady. Do odległego o około 50 metrów przed domem wchodził dostojnie ubrany urzędnik. Pod postacią policjanta, który miał się tam gdzie gmina, podjechał powoli w pięknym, granatowym mundurze. Postawił rower pod domem i wrócił do środka. Z minuty na minutę coraz więcej ludzi przyszedło i zaczęło się w wysoki, berka, grało w kępe. Chłupcy szli w dużym kole, kopali do siebie piłki. Przed sklepami, w stronę wędlin sprzedawcy zaczęli do kupowania swoich towarów.

Wspomniał kupi! Dobrą kiełbasę, smaczną kiełbasę. Spróbowałem samą najlepszą towar powiedział, wystając przed siebie

Sakowicz obserwował krzątających się wokół niego ludzi. Jak piękny jest ten świat, myślał. „Wszystcy gonią od rana. Każdy ma coś do załatwienia. Pracują, żeby jeść, pić, żeby mieć w czterech ścianach, żeby godnie żyć. Miodzą się do Boga, żeby wspierał ich w tym, co robią, bo robią to na chwałę Boga, bo tylko Bóg się liczy, rodzina, miłość, i czyste sumienie, no i jeszcze zdrowie”.

szmysłan wyrwał go nagle głos mężczyzny, który stanął

14. *Journal of the American Medical Association*, 273:1221-1222 (1995).

[illegible]

przed nim. Ubrany był w jasny garnitur. Na głowie miał słomkowy kapelusz, w rękę trzymał laskę z czarną gałką.

Dzień dobry! Szanowny pan nowy? zagadnął.

Salomon podniósł się ze stolika i odpowiadał kilkakrotnym, niskim ukłonem.

Mężczyzna zrobił krok w kierunku wejścia.

Czy można? Mam interesik.

Jak interesik, to dobrze pan trafił. U mnie każdy może zrobić interesik. Żyd wyciągnął obie ręce do przodu, zapraszając do środka, ponownie nisko się uklonił. Czego jasnie pan sobie życzy?

Widzi pan, mam już swoje lata, nie żebym był za stary, ale czas założyć rodzinę. Kogos poznać co, no tego byłaby do rzeczy. Rozumie pan?

Czego mam nie rozumieć? Rozumiem doskonale, o co szanownemu panu chodzi.

- No, a ja w jednym garniturku. Rozumie pan? powtarzał.

- Czas zmienić ubranko, no i tego ustatedzkować się zdziechło. Może skrobiłby pan na mnie jakiś zgrabny uniformik?

Au tylko zgrabne uniformiki szyje. Szanowny pan lepiej trafić nie mógł. cmuknął krawiec, przykładając palec do ust, jak to miał w zwyczaju. Zaraz szanowny pan znajdzie kandydatkę na żonę. Mako, że jedną, mogą być dwie, albo trzy kandydatki. Czy życzy pan wziąć miarę zaraz?

Nie, nie. Dzisiaj nie mam czasu, ale wpadnę jutro. Dzisiaj jeszcze kawusi nie piłem. tłumaczył. Wpadłem tylko spytać, mówiąc, cofając się do drzwi.

Tak. Jutro zajrzę, a uśmiewając się, dodał: Kawusia i na tarasik. Tak, na tarasik. i już go nie było.

Salomon zastanowił się.

Czy to dobry znak na przyszłość? Może on wróci, a może nie wróci?

Nie trwało jednak długo, bo do środka wszedł kobieta z kilkuletnim chłopcem.

Dzień dobry. O! To nie ma pana Adamczewskiego?

Podobno się zmarło biedakowi, odpowiedział spokojnie Salomon.

O! Nie wiedziałam. Dobry był człowiek. Dawno u niego nie byłam. Niech mu ziemia lekka będzie. No cóż? Widzę, że krawiec za krawca. Temu smykowi trzeba spodnie uszyć. Do tej pory ciwał po bracie, ale przydałyby się nowe, welniane.

Szanowna pani lepiej trafić nie mogła. Już biorę miarę.

Piętnastego sierpnia, wezwanie rano, zaczęły się w żelińskim Ryńku przygotowania do mszy świętej, z okazji święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny oraz uroczystości związanych z rocznicą ucieczki bolszewików spod Warszawy w 1920 roku. Tak Rynek został odświętnie przybrany kolorowymi wstążkami i białymi czerwonymi flagami. Przy pomniku kościuszki organizatorzy postawili stół przykryty białym obrusem, który miał być otoczony i stawili też ławy i krzesła. Tymczasem Franek spalił miarę w najcieplej.

Wstawaj, spochu! mama zaczęła ścigać z niego koca.

Wstawaj! dodał ostrzej ojciec, bo spóźnimy się do kościoła.

Franek otworzył oczy.

To tała w domu? spytał przeciągając się we wszystkie strony.

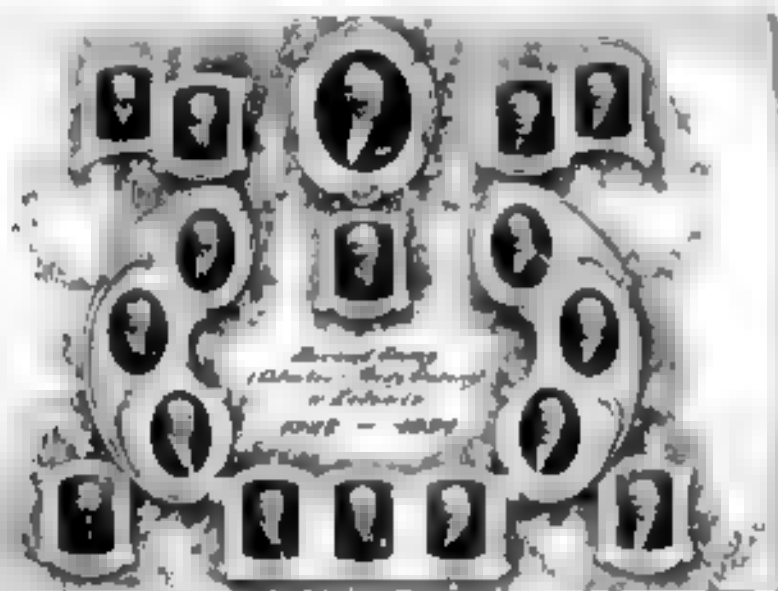
Jak widzieć? Mnie też należy się uczcić takie święto. To wielki dzień dla Narodu polskiego, dla nas, katechików, dodał.

Prawda. Do kościoła! Franek oprzytomniał i zerwał się na równe nogi, po czym ubrał się szybko i cała rodzina Szkuśniaków poszła na uroczystą mszę.

Wszystko było gotowe. W pierwszym rzędzie zasiadły władze Żelowa wójt Włodzimierz Pospiszył, gminni radni, komendant polon w Żelowie Władysław Kun oraz przedstawiciele lokalnych parafii na czele z pastorem parafii Ewangelicko-Reformowanej Aleksandrem Piaseckim, pastorem bełchatowskim



Jakubem Gerhardem / księdza Ewangelicko-Augsburskiego  
oraz pastorem Baptystów / i księdzem Saurzem



Zarząd Gminy Żelazno 1927-1931 Władimir P. Popow, A.  
 Kuznetsov, A. Fink, K. Popowicz, K. Woschinski, A. Borens, J. Murys  
 Władimir, P. Popow, P. Kuznetsov, K. Woschinski, M. Murys, J. Murys  
 K. Woschinski, J. Murys, P. Kuznetsov, J. Murys, J. Murys, J. Murys  
 K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski  
 K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski, K. Woschinski

Frank złożył w ostatniej chwili. Włożył komcę, zadzwonił dzwankiem i razem z kiedzem wyszedł na roznościenie mezy.

Assumptio Beatae Mariae Virginis in coelum" - zaczął śpiewać proboszcz Jan Grodkiewicz. W ten dzień nas katolików jeden

კომპიუტერული მართვის სისტემები და მათი ინტეგრირება მართვის სისტემებში

z najwazniejszych, w kalendarzu liturgicznym, dni Pomocimy  
i wale dzisoty za naszych parafian oraz za ojczyznę mita, aby  
ich flag strzezył ją z jej mieszkanców od wojen i nieprawosci.  
Wzniecic Cudu nad Wisla pomocimy sie za poległych w obro-  
nie naszej ojczyzny, aby ofiary ich zycia nie byla daremna i do-  
prowadzila ich przed oblicze Pana Boga Wszechmogacego.



Dr. Joseph A. Schuchman



成を評価した。結果は図 10 のとおりである。HTC

Łowca obserwował ciekawie, stojąc na schodach przed  
wejściem do zakładu ojca. Czekał na Franka. Kiedy uroczystość  
dobiegła końca, wstał i wzrokiem wyszukiwał kolegę wśród roz-  
bieganych ludzi. Zobaczył go, biegnącego w jego stronę.  
Szukałem cię wczoraj - zagadnął, kiedy chłopak był już bli-  
sko. Aleś się wystrusił! - dodał z podziwem.

Frank ubrany był w białą koszulę, spodnie z kantami do kolan, podkolanówki i nowe, brązowe buty. Pod pachą trzymał starannie złożoną komżę.

Wczora, byłem u babci w Bajnach – odpowiedział zaspany ale zadowolony ze spotkania. Po południu też idę. Po mieście i jeszcze na jezyny. Pójdiesz ze mną? Pokażę ci „Patyki”.

– Co? Dawid uśmiechnął się.

No, takie miejsce w lesie, gdzie jest rzeka i góry zółtego piachu, jak na jakiej pustyni. Zobacysz, tamte będzie. Przyjdę do ciebie po obiedzie – dodał i popędził do domu.

Tęte. To był mój nowy kolega, Frank – powiedział Dawid do wychodzącego z zakładu ojca. Pomaga do pracy księdzu. Czy to dobrze tato, że mam kolegę katolika?

Nauka się synu, że ludzie na całym świecie są różni, że mają czarne, białe i inny kolor skóry. I bronią się w łuche odzienie lub wytwornie, jak hrabkowskie, wielkie państwo. Nauka się też, że ludzie na różne sposoby wierzą we Wszechmogącego. Nie zwracaj na to wszystkie uwagi, tylko patrz, czy oni mają dobre serce. Ludzie czasem kręcą i kombinują, byleby interes mieli. Ci czasem mogą mieć małe „cofne” rzeczy na swoim ciecie i na duszy, ale jeśli oni żyją tak, że inni ludzie przez nich nie płaczą, jeżeli nie gwałcą, nie mordują, to oni są dobrzy ludzie. Jeżeli taki jest twój kolega, to ty Dawid nie patrz, że on jest katolik, ty nie patrz, że ewangelik, ty patrz, że on jest dobry człowiek.

Dawid czekał na nowego znajomego, chodząc tam i z powrotem po podwórzu. Zobaczył go wychodzącego do bramy w towarzysztwie drugiego chłopaka.

To jest Zenek Pejga. Razem w ławce siedzimy – przedstawił przyjaciela.

Przed Dawidem stanął wysoki, szczupły chłopiec o ciemnych włosach.

„Cześć” – podali sobie ręce – idę z wami. Będziemy się kąpać. Nie zapomnij też butki na jezyny.

Chłopcy szli pelami w kierunku lasu, rozmawiając śmiejąc się serdecznie. Na przemian opowiadali sobie historie związane z szóstą z ich kolegami i koleżankami. Przechwalali się, który z nich lepiej gra w piłkę. W końcu zaczęli się sprzeczać o ilosć wziętych gołi. Po chwili doszli jednak do wniosku, że w taki piękny dzień nie można się kłócić. A dzień był gorący i parny.

Na skraju lasu, gdzie jezyna była najwięcej, skłócone do skwierota najbardziej. Kolce – jedyna obrona krzewów przed mrozami – kołowały ręce i nogi. Jednak wszystkie uciszały wase rekompensowały smaczne, soczyste owoce, które szybko znikały w ustach. Nauczni, które zabrał ze sobą, szybko się zapelnily. Podrapani i spoceni chłopcy dotarli nad rzeczkę, która płynęła spokojnym nurtem, wijąc się między zieloną drzewa, krzewów i nadbrzeżnych roślin. W czystej wodzie pływały ławice drobnych rybek. Wskazywali do chłodnej, orzeźwiającej wody. Śmiały się i chlupali. Wśród rozciągał się pachnący żywica las, poza dopiero co skoszonego zboża i góry zółtego, czystego piasku.

Kto pierwszy na szczyt? – krzyknął Frank i zaczął biec.

Po dotarciu na wyznaczoną przez siebie mecie rzucił się na piasek.

Oczywiście, że ja! – dodał uradowany.

Chto pięta – powiedział Zenek, kludąc się zdyszany obok. Dawid dobiegł ostatni.

Ale ten piasek gorący! – powiedział, skacząc z nogi na nogę i czuł w błogim rozleniwieniu. Wygrzewając się w słońcu, obserwowali przepływające po niebie obłoki.

To tutaj wygląda, jak krowa – Frank wskazał ręką na kłębiącą chmurę.

Hee, tam! Jak byk – zaśmiał się Zenek.

U Zenka?

Bo nie ma cyków.

Chłopcy roześmiali się

Moglibym tak leżeć godzinami – powiedział Dawid.

Ja też – dodał Franek, odwracając się na brzuch.

A mnie coś gryzie – Zenek zerwał się na równe nogi, drapiąc się po pośladku.

Nagle jako się słyszeć warkot silnika zbliżającego się motoru. Przejechał szybko drogą, która przebiegała z drugiej strony rzeki.

Takiego chciałbym mieć – Zenek patrzył z otwartymi ustami za znikającym w toniach karzu pojazdem. A tu jeszcze dwa tygodnie – do szkoły – westchnął, kiedy motor zniknął w oddali.

W szkole też jest fajnie. Bardzo lubię szkołę i książki – odpowiedział Dawid.

Pewnie. Wyjątkowo mądre książki byś czytał i interesy robił. Na świecie są też inne rzeczy niż książki i pieniądze. Zrywał się Franek. Ja to bym chciał zobaczyć cały świat. Zobaczyć dalekie kraje, Eskimosów i Murzynów.

A ja wolę samochody i motory. Wszystko co ma silnik, wciągnął Zenek. Albo taka elektryczna na Poznańskiej. Hylem tam z tatą, jak ją otwiera. Kiedyś będę konstruktorem maszyn na prąd, albo będę robił silniki do samolotów. Pan Skarzewski cały Atlantyk przeleciał takim samolotem.

– Wrócimy? – zapytał Dawid.

Wejdziemy jeszcze po mleko do mojej babci i weźmiemy jajka od cioci. Będziemy mieć na kody. Babcia i dziadek mieszkają razem z wujem, ciocią i moim kuzynostwem – wyjaśnił.

Jak to, na kody? – spytał Dawid.

No, za jedno jajko – loda. Zamiat 5 groszy.

To za jedenastę jajek dostaniesz chleb – uśmiechając się wyliczył Dawid.

Sierkowski nie handluje precyzją – także z uśmiechem odpowiadał mu Franek.

Ale u nas w piekarni możesz wymienić – wciągnął Zenek – za mendeł jaj dostaniesz chleb i bułkę.

Kiedy wracali, słońce już zachodziło za horyzont. Czerwona łuna rozlewała się po niebie, barwiąc kłębowate chmury. Było ciepło i przyjemnie. Rozgrzana ziemia oddawała nagromadzone w ciągu dnia ciepło. Od pola tak powiewał lekki, ożywczy wiatr. Wokół słychać było głosy i młot dla ucha ciekawie świerczący. Jaskryne, żółte i wazduhyjskie komary dokuczały wędrowcom w drodze powrotnej do domu.

Dawid, myśląc, że domownicy już śpią, wszedł po cichu do mieszkania. Zamierzał od razu udać się na spieczynkę. Mylł się jednak. W kuchni czekała na niego matka.

– Nie, Dawid. Stój! i mów. Co masz na swoje usprawiedliwienie. Długo jest zły na ciebie, że ty tak długo nie wróciłeś.

Ależ mamo. Są wakacje. Poznałem nowych kolegów i rodzinną Frankę i zobacz, ile jej przyniosłem.

I – odpowiedziała Rachea lekko się uśmiechając.

Zobacz, jak ty wyglądasz. Masz się najpierw porządnie umyć a potem jeszcze porozmawiaj. Masz dopiero dwanaście lat. Mar twiliśmy się o ciebie.

Przepraszam mamo – powiedział skrzyżniony. Już idę się myć – wziął się za kłódę – podszedł do szafki na której stała wudra i wiadro i muska, ale odwrócił się jeszcze – spytał. Mamo, ile bardzo jest zły?

Kłódka uśmiechnęła się i pogłaskała syna po głowie.

– Nie bardzo. Jakos mu wytłumaczymy, teraz dobrunus – pociągnęła go w czoło i poszła do sypialni.

Następnego dnia już o szóstej rano obudził Dawida odgłosy chłopskiego rzemienia. stukot metalowych obręczy kół wozów kołujących się po bruku i dobiegająca zewsząd ludzka mowa.

I o co, co się dzieje?

Salomon, którego też obudził hałas, usiadł na brzegu łóżka. Odczekał się dopiero po chwili, jakby musiał uprzytomnić sobie, że to jawa, nie sen.

– Na. Dziś jest środa. Targ będzie.

Rynek szybko zapelniał się wozami i kramami. Sklepy i kawiarnie wypelnily się gwarem. Słychać było rozmowy w różnych językach. Widac było ludzi w różnych strojach. Jedni kupowali, inni sprzedawali, jeszcze inni tylko oggdał. Wolne miejsca pomiędzy wozami zajmowały gospodynie z koszami wybudowanymi po brzeg masłem i śmietaną, twarogiem i jajami. Oho! na ziemi leżały kupki grzybow i stały wiadra pełne kazy. Na stojących na obrzeżach wozach żywe ptactwo gęś, kury, kaczk. Wszystko to gęgało, skrzeczało, kwakało. Ludzie hurliwali, czym tylko się dało.

Duhy i war zachęcali. – Dobre kartofle, świeże warzywa.

Stary Żyd z długą siwą brodą chodził z metalowym wędrem, zachęcając do kupowania sędzi, a gromadka dzieci, biegając wokół niego przedrzeźniała go, wołając:

– Dobry ślidy! Dobry ślidy!

Przy pomniku ustawia się kapela – wygrywało różne melodie i przypiewywało wesoło. Przed nią leżała czupka, w którą wrzucano monety. Kązow mógł zamówić ulubioną piosenkę. Śpiewali więc głą i grąjkowie. Córul, czy ci nie żal i inne smutne oraz wesołe piosenki. Przez tłum przedzierał się chłopak, pchając przed sobą skrzynkę em kółkach, wołając:

Lody, lody! Dla ochłody!

Przy kramach zbierały się kobiety. Zwłaszcza młode dziewczęta przebierały chusty, korale, paciorki. Starsze Żydówki chodziły pomiędzy gospodyniami wyszukując jak najbardziej kosztownych wyrobów.

– Ne, ne! Trefne – mówiły, kręcąc głowami.

Rachela z córką kupowały głównie rzeczy do jedzenia i do kuchni.

Sarcie. Kupimy miękę, jajka i proszek do pieczenia. Tylko żeby był „Pulechnik”. Zrobimy ciasto na Szabas. I przypomnij, żeby kupić kartofle, chochle i dwa gary na mleko. Koniec z wyparzaniem. Będą na drugi zestaw.

Po powrocie do domu Sara weszła do ojca.

Tate. Uszyciesz mi nową sukienkę? – spojrzała błagalnym wzrokiem – mam tylko tę. Ty jesteś najlepszym krawcem.

– Jej ciemne oczy błyszczały, a na ustach pojawił się najładniejszy i najświeższy uśmiech. Wiedziała, że to najlepszy sposób, aby tata jej nie odmówił. Sara była ładną dziewczyną. Wyglądała na starszą niż jej rówieśniczki. Była mądra i poslušna. Bardzo kochała ojca, a on był z niej bardzo dumny.

A czy to takie wielkie nieszczęście, Sarcie, ty moja?

Oj! Tate! To małe nieszczęście to wielka tragedia – odpowiedziała, przysiadając do ojca i smięąc się głośno.

Twoj tata jest dobrym krawcem, ale nie jest najlepszym. Najlepszym krawcem jest Bog. Zobacz, jak on pięknie skroił i uszył ten swiat i to tylko w sześć dni. Na początku Bog stworzył Niebo i Ziemię. Potem rzekł: „Niech się stanie światłość” i stała się światłość. Potem stworzył wody, lądy i gwiazdy. Następnie stworzył zwierzęta. A potem rośliny, aby żywe istoty wyżywić. Na koniec stworzył Bog ludzi na obraz i podobieństwo swoje i rzekł do nich: „Rozmnażajcie się, rozmnażajcie się i napelniajcie ziemię i czyniecie ją sobie poddaną”. Urządził to tak, żeby wszystko na ziemi miało swoje miejsce i wszyscy by i potrzebn.

A pan Haker, Tate? – wszyscy mówią, że krzywdzi Żydów.

To złe człowiek. Krzywdzi nie tylko Żydów. Taki jest ten swiat. Walka dobra ze złem wciąż się toczy. Są ludzie, którzy kradną innym. Żeby zaspokoić swoje chore dążenia, zatuszować swoje wady i niedoskonałość, szukają „kół zła i fiarnego”. A my, Żydzi, jesteśmy temu winni? – rozdzelił się Żydem. Żydem onie. Mój tata był Żydem, mój dziad był Żydem, jego dziad – i jeszcze wcześniej, aż do początków naszego Narodu. Mamy swoją wiarę, mamy tradycje. Jego się nie wyprzemy. A przede wszystkim... Bog jest z nami.

Po chwili zadumy, dodał:

Moja Sarcie. Twój tata uszyje ci taką sukienkę, ze wszystkimi chłopcy będą tylko na ciebie patrzali.



Sara spuszcza głowę i okryła się rumieńcem.

Oj, tate! wyszeptala zawstydzona.

Ty pójdź mi teraz po ziola, wiesz jakie. Salomon wyciągnął pieniądze z kieszonki w kamizelce i podał córce.

Drogeria pana Szymańskiego znajdowała się na parterze domu, przy ulicy Sienkiewicza. Sklep podzieleny był na dwie części. W jednej mieścił się skład apteczny, w drugiej turbie, kleje i pędzle. Można było tu też kupić atrament i zeszyty szkolne. W powietrzu roznosił się zapach ziół i tabaku.



Ulica Sienkiewicza. Kamień, lat 30. XX w. Potulice, wejście do drogerii

Witam panienko – zwrócił się do niej starszy pan. Może cukierka?

Wyciągnął przed siebie małą tacę pełną słodkości.

Sara podeszła do długiej, szerokiej, ciągnącej się wzdłuż całego sklepu lady.

Dzień dobry panu. Tate przysłał mnie po ziola. On zawsze pije ziola, bo

W ten chwila drzwi do sklepu otworzyły się, co oznajmił za wieszonym nad nim mały dzwoneczek. Do środka wszedł mężczyzna w wódkę, w spodniach i butach, starych portkach – wytartych, pokrwawionej kieszonki. W jednej ręce trzymał bat, w drugiej kawałek papieru.

Niech będzie pochwalony – powiedział grubym głosem.

Na wieki wieków – odpowiedział właściciel.

Mam tu do wypłaty od księdza dobrodziej.

Włók: Macieju. Co u was słychać? Dawno was nie widziałem. Szymański odebrał od przybysza kartkę, na której było napisane: „Do wypłaty 5 zł” i podpis „ks. Grodzkiewicz”. Ciesząc się, wyszedł.

Zwrócił się do Stepana z Kolono Potulickiej. Za darmo dał na koscioł. Ja jeno za przywózkę wezmę – by było za co dziecku im chleba kupić. Wczoraj i dziś obracałem parę razy. I no ze wczoraj, cały dzień zeszło, do zachodu. Bog zapłać – woznica odebrał zapłatę. I znowy człowiek jestem. Od razu wypłata, jak się i należy. Wiedzieli komu zawierzyć pieniądze na budowę. A teraz koscioł rosnie i pięknieje z każdym dniem. Na chwałę Bożą. No, jęde. Szczęść Boże! – dodał, wychodząc.

Szczęść Boże, Macieju. A pozdrówcie dziecińki i żonę. Chłop nie odwrócił się, tylko podrzucił rękę do góry w podziękowanie i wyszedł.

Przepraszam, panienko – sprzedawca zwrócił się ponownie do Sary. – To, co chciałaś?

Tate przysłał mnie po ziola, bo jego ciągle coś w ziółdek gniecie i pali. Dołączyła dziewczyna.

Dajcie ziołka, które na pewno twojemu tacie pomogą się zmniejszyć. Dajcie Ciaseckiego. Na pewno pomogą – podał dziewczynie paczkę ziół.

Jesteście tu nowi? Nigdy nie tutaj nie ważyłem.

Sara skinęła głową.

No, to życzę wam zdrowia i witamy w Zielowie.

## Pierwsze miesiące

Wakacje dobiegły końca. Dawid odczo wybrał się do szkoły na rozpoczęcie roku. Uroczystość rozpoczęła się modlitwą i czytaniem Tory. Obecny był założyciel chederu, Lajb Kuperwasser oraz przedstawiciel zarządu szkoły, Chaim Iherman. Kierownik szkoły zyczył uczniom dobrych wyników w nauce. Przypominał też o zobowiązaniach, jakie przyjmą na siebie w przyszłym roku chłopcy kończący 13. rok życia oraz że wszelkie zaniedbania w nauce i nieposłuszeństwo będą surowo karane. Poprosił też o przestrzeganie zasad zawartych w Torze i codzienną modlitwę.

Zawsze pamiętajcie o dniu Szabbatu, aby go uświęcić – zaznaczył na koniec dyscyplinująco.

Po godzinnej uroczystości, chłopiec wrócił do domu.

– Tato, czy mogę tu posiedzieć i poczytać?

Na, czemu miałbyś tu nie posiedzieć i nie poczytać? Siadał czytać, a ja będę czył. I mnie i tobie różniej będzie. A jak w szkole? Czy ty taki smutny jesteś?

Eee... nie – odpowiedział, jakby chciał wykręcić się od dalszej rozmowy.

Nie martw się, poznasz kolegów i będziesz dobrze – pocieszał go Salomon.

Dawid nie nic powiedział. Otworzył książkę. Na pierwszej stronie widniał tytuł: Henryk Sienkiewicz „W pustyni i w puszczy” oraz stempel Towarzystwa Młodzieńców Sztuki założonego przez państwo Gąsiorowskich rok wcześniej.

Dla rodziny Berkowiców wrzesień był początkiem nowego 5693 roku. Pierwszy dzień miesiąca (szni) był jednocześnie

<sup>11</sup> Szni – pierwszy miesiąc cywilnego kalendarza żydowskiego (przypadający na wrzesień – październik w kalendarzu gregoriańskim).

początkiem okresu Strasznych Dni, w czasie których należało rozmyślać – modlić się, odbyć pokutę za grzechy – aby w Jom Kippur został zapisanym przez Boga do księgi sprawiedliwych – pokutnych. Były to dni ścisłego postu zakończone obłitą kołosa i chlebkiem (chok) domu szalasu, który przypomina – z racji dom – kłodzie przez pustynię jaką musieli przebyć – zanim dotarli do Ziemi Obiecanej. W dniu kończącym ten okres, zwanym Sukkot 48h. Radoszą Tory – wszyscy cieszą się i uczują spożywając – karmel – muskami – gołębki z kapustą i pieczone mięswo.

Kuchnia w domu Berkowiców była miejscem, w którym koncentrowało się życie całej rodziny. Tutaj spotykano się przy posiłkach – rozmawiano i ochoczo wszelkiego rodzaju utraczy – desce religijne i rodzinne. Do gospodyni należało prowadzenie domu – przygotowywanie posiłków – opieka nad dziećmi. To ona odpowiadała za przestrzeganie zasad kulinarności spożywanych przez domowników posiłków. Garnki – naczynia były zawsze starannie wypierzone, a pomieszczenia czyste i schludne.

Lana Berkowicz była dobrą gospodynią. Dbała o dom i smacznie gotowała. Sam wyrosła się do matki. Chętnie pomagała i niejednokrotnie przygotowaną przez nią potrawę wychwalała pod niebiosa, mówiąc – że dla takich specjalistów warto i wórek pieniędzy dostać – tutaj domnie unosiła głowę i mówiła.

To moje matule<sup>12</sup> tak mnie wyuczyła.

Wszyscy lubili słuchać jej – piosenek – które nauczyła swoim dwupiętnym głosem, krzątając się w kuchni.

Krepelka deszczu, słonka promyk – spokojny kąt – choć malenka – łuska. Cidy człowiek zdrow – czegoż więcej – trza! Słonienka, jak łuska żółwki, w kieszeni cztery – trzy żółtówki. Cidy człowiek zdrow – czegoż więcej – trza! Krepelka deszczu, słonko – nie tak na stole siedzi – kromka chleba. Cidy człowiek zdrow – czegoż więcej – trza!

Rachela i Sakomon byli dumni ze swoich dzieci. Wiedzieli, że mogą na nich liczyć, kiedy się zestarzeją. W rodzinie panowała zgoda, miłość i wzajemne poszanowanie.

\*\*\*

Tuż przed meczem eliminacyjnym do Mistrzostw Świata, Polscy Czechosłowacy, chłopcy postanowili rozegrać swo-  
w-  
sny podwórkowy mecz. Chcieli przekonać się, która reprezentacja wygra w Zelenie. Przygotowania i treningi oraz przechadzki, kto jest lepszy – trwały od tygodnia i słakno termin spotkania. O sędziowanie i kontrolę czasu, Franek poprosił wujka, który kilka lat wcześniej grał w Żelaznym Klubie Sportowym. Wujek dał im też nieco zużyty, ale prawdziwy piłkę.

Kiedy Dawid, Franek i Zenek szli na „plac boju” już z daleka widzieli, że coś się dzieje. Z sąsiedniego podwórka słychać było krzyki i przekleństwa, które spłyły się „jak z rękawa”. Chłopcy zamiast rozgrzewać się na boisku, leżeli na brzuchach, na dachach komórek i śmiejąc się głośno, przyglądali się czemuś z zainteresowaniem.

Co się tam dzieje? – spytał Franek.

Było trochę śmiechu, bo to ja-na-tyca była! – odpowiadał, schodząc z komórki syn fryzjera Kifela, Icek.

Ale przedstawienie – dodał, zeskakując z dachu Karol, kuzyn Franeka.

No, powiedzcie w końcu, czego tak rechoczeć? Franek zniecierpliwił się, ale widząc kolegów, którzy śmiali się do łez, uśmiechnął się także.

Cieszkowscy znowu się pokłócili. Ciągłe się kłóć. Ciągłe tam polują. Jeden na drugiego ja wzywa. Wiesz przecież, że oni tam mają jedno mieszkanie, na pół sobie przedzielili, ale jedna izba, to jeden kibel w podwórku, na dwóch braci. Karol znowu nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ale po chwili opanował się i kontynuował opowieść. No i starszy Cieszkowski, żeby

zakończy brata, zamknął ten kibel na kłódkę. To wtedy ten młody nie mógł wejść. Karol położył się ze śmiechu na ziemi.

No i co dalej? – dopytywali zniecierpliwieni chłopcy.

Ja on – to on, złożył kłódkę na kłódkę! I awantura gotowa, kumasz?

Ale już! – krzyknął Franek i razem z Dawidem i Zenkiem zaczęli się śmiać.

Och chyba mają coś nie tak z głową? – dodał Dawid, nie mogąc opanować śmiechu.

Właśnie tak? – spytał Karol. Oni mają kompletnie porwane! Chyba w portko narobią!

Śmiech znowu opanował wszystkich chłopców.

No dobra, Starczy tego – powiedział Franek, robiąc poważną minę. Czas pokazać, kto rządzi na podwórku. Składę znane tutaj przewidywania: Cechom, Dawid, Icek i Abram, do nas, a bracia Kormiatyn i Mordko, do drużyny Zenka.

Stecz był zajęty. Wokół zebrali się wielu kibiców, którzy raz po raz pokrzykiwali, dodając się to jednej, to drugiej drużynie. No i – minit przed końcem był remis – 2:2. W pewnym momencie kopnięta piłka przeleciała nad komórkami i spadła na sąsiednie podwórko.

Au! – wrzasnął Karol i pobiegł po piłkę dookoła.

W chwili wycieńnienia zawodnicy położyli się gdzie kto mógł, aby wypocząć.

Po dłuższej chwili chłopak wrócił.

Gdzie piłka? – spytał ze zdziwieniem Franek, widząc, że kuzyn wraca z pustymi rękami.

Nie ma? Stara Niemka nie chce oddać.

Jak to, nie chce? Przecież to nasza piłka.

Wpadła do jej ogródka – kontynuował Karol – podobnie kwiatki jej zniszczyła, chociaż nie widac, żeby były polowane. Z ziemi podniosła się kilku oburzonych chłopców.

No to jak, dokonamy mecz? – pytali jeden przez drugie-

go.

Chodźcie ze mną. Franek kiwnął na Dawida i Zenka, Karol dołączył do nich.

Poszli przez sąsiednią brzołę z zamiarem odzyskania swojej własności. Weszli na podwórkę z małym ogródeczkiem, w którym były resztki warzyw i podwójne już kwiaty. Okno, które wychodziło na rabaty, było otwarte.

Pani Ketm. zawołał Franek. Proszę nam oddać piłkę. W oknie pojawiła się postać starszej kobiety w chustce na głowie zawiązanej na czole.

Na, matko! powiedziała uszkle i rzuciła ją w kierunku chłopaków.

- Dziękuję - Franekowi słowo uwieźło w gardle.

Piłka była przebita.

Przebita nam piłkę! powiedział z niedowierzaniem Zenek. - Zapelnij Nuk - oglądał ją ze wszystkich stron.

Jak pani mogła? - zaczęli krzyczeć.

Powiem tacie - dodał Franek.

Sąsiadka wychyliła się przez okno i już miała coś krzyknąć, ale powstrzymała się i powiedziała spokojnie:

Już taka była. Może, jak uderzyła o ziemię, to się przebiła.

Nieprawda. Pani kłamie! wrzeszczał oburzony Franek, idąc do ojca.

Czekaj! powstrzymał go starszy od niego Karol. - sami wy mierzymy sprawiedliwość.

Salomon szedł na maszynę, kiedy drzwi do zakładu otworzyły się i wszedł średniego wzrostu mężczyzna z obfitymi czarnymi włosami w krótkich, na jego zaczesanych włosach. Ubrany był w długi płaszcz, spod którego widać było białą koszulę z krótkim kołnierzykiem i muszkę.

Zona pyta, czy futro już gotowe? Salomon zerwał się na równe nogi.

Witam w moich skromnych progach, że też jaśnie pan sam się fatygował! ukłonił się nisko i mówił dalej. - Czemu ma być

niegotowe. Mało być na dziś gotowe. Jest gotowe. Właśnie miałem wysłać chłopaka, a tu taki gość, taki gość! powtarzał krótko, kłaniając się co chwile. Pan spokojnie, pan poczeka, zaraz zapokuję. Wstał krzesło rękawem i podsunął mężczyźnie. - Taki jak nowe. Naprawię. Nową podszewkę dałem. Jak nowe. Nikt nie powie, że nie nowe.

W tej samej chwili do zakładu wbiegł zdyszany i brudny Dawid.

Tato! Stara Niemka przebiła nam piłkę!

Czemu ona to zrobiła? - spytał ojciec.

He, piłka wpadła do jej ogródka, jak gruszy mocz. Bardzo ważny mecz. Ale na jej nie zniszczyła, a ona ją przebiła.

Specjalnie to zrobiła, bo ona nas nie lubi. Ona nikogo nie lubi.

Pewny jesteś, że to ona zrobiła? Widziałeś to?

No. Dawid zawahał się nie widziałem, dodał uciekając.

Właśnie nie spotwarzaj sług przed panem jego, aby cię nie przeklął, a ty za to nie odpokutował. Od onajęcia jest Bóg, i przeczeka, nakazuje widać się, kiedy gdzieś wchodzi. Salomon uklonił się w stronę gościa. - Przepraszam państwa za wyśmianie.

Chłopcu teraz Dawid spostrzegł siedzącego z boku mężczyznę.

Dzień dobry! ukłonił się.

Witam, witam. Chętnie posłucham. Mam syna, wiem, jak to jest.

Ale proszę pana. Dawid zwrócił się teraz do przybysza. Ona tak podobna zawsze. Jest stara i zgorzkniała, wszystkim robi na złość. Po prostu jęcza.

Słuchaj, synu, zaczął Salomon. Dawno temu żył pogodny, wesoły człowiek o imieniu Symeon. Był zwiastem dla wszystkich ludzi, bo był szczęśliwy. Miał kochającą żonę i dzieci, miał własny dom i co jest. Jednak pewnego dnia w mieście wybuchł wielki pożar. Jego żona i dzieci zginęły, a dom się spał. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Odnajdź zaczął stronić od wszyst-



kuch. Stracił wiarę nie tylko w ludzi, ale także w Boga. W końcu wszystkich zniechędził, a nienawiść niszczy człowieka. Nie ma normalnego życia bez przebaczenia i bez wiary, że będzie lepiej. Może tak było ze starszą panią, a może matką. Mówię ci to jeszcze raz. Sądzić będzie nas tylko Wszechmogący. Jak w przypowieści króla Salomona – nie to nie teraz, bo pan wojt czekał, ponownie uklonił się w stronę klienta.

Ty jesteś mądry człowiek, Salomon – powiedział, wstając z krzesła wojt gminy Żelów. Włodzimierz Pospiszył. W naszej Radzie jest dwóch waszych przedstawicieli. Wybory za dwa lata. Macie swoją gminę, porozmawiaj. Potrzeba nam mądrych głów, co to chcą dobrze dla całej naszej społeczności, bo nie tak pusto każdemu dogodzić. Potrzeby są ogromne, zadania z każdej strony, a kasa pusta. Tymczasem niektórzy wasi sięją nieżydów. Nie dajcie, jak w zeszłym tygodniu grupa młodych Żydów chodziła po chudzikach, trzymając się za ręce i krzyżując. „Wasze ułce! Nasze kamienie!” (Do Prtaków to kierowa). Może oni byli pijani, może nie? Ludzie schodził im z drogi, ale komu służy takie zachowanie?

Salomon odetchnął głęboko.

Urodziłem się Polakiem i nim się czuję. Polska jest moja ojczyzna, ale wierzę, że ona się nam, jak Polsce, po wielu latach niewoli, doprowadzić do utworzenia naszego państwa na ziemi naszych przodków. Na chwałę Pana naszego i naszego Narodu Izraela. Wierzę w to, czego nauczyli mnie moi rodzice, moi przodkowie. A co? Jestem tutaj, chcę, żeby wszystkim ludziom się wiodło, żeby każdemu szło, jak po masłce.

Drżąc mówił, wtargnął wojt, mieszkamy w Polsce i naszym zadaniem jest działać dla tego kraju i jego mieszkańców. Niestety nie wszyscy wasi mówią tak, jak ty, zwłaszcza ci, co z hełkiewiczami trzymają. Takim nie ustąpimy. Z takim będziemy walczyć, gdy zajdzie potrzeba. Ci do wiary to każdy ma prawo do tego, żeby wierzyć w wiarę swoich przodków. Każdy też ma prawo do własnego zdania, ale czym więcej jest jedności, tym

w narodzie, tym lepiej dla ogółu. Żadnych burd nam tu nie trzeba. Razem walczymy już o tym z przedstawicielami waszej gminy, ale chcę się, że my także się rozumiemy.

\*\*\*

Oni płynęli szybko. Dawid przywyknął do nowego otoczenia. Najchętniej przebywał z wesołym i gadatliwym Frankiem, choć to był taki sam chłopiec w jego wieku, jego wyznania. Po szkole wychowanie swych domowych obowiązków chodził to tu, to tam, biegał w piłkę i w chowanego. Ogiąwał gołębice, które hodował, a także Franka. Spotykali się często. Najczęściej na podwórku, ale także umawiając się wcześniej.

„Cid w dziwny?” spytał Dawid Franka, kiedy ten wszedł po niego o umówionej wcześniej porze.

Na spotkanie.

Oboje spotkanie.

Nie mogę powiedzieć.

Co to za spotkanie, że nie możesz powiedzieć?

No, nie mogę. Obiecałem Karłowi, że nie powiem, to nie słowo, to słowo. Mogę tylko powiedzieć, że będzie nas pięciu chłopaków. Ja, ty, jeszcze Zenek, no i Karol i Marek z Dąbrowy.

...

Chłopcy czekał na nich na sąsiednim podwórku za karmką.

„No! Wreszcie jesteście! Najwyższa pora, bo zaraz będzie ciemno i nie zaleźemy naszykować.”

Ale, czego? spytał Dawid.

Inteligencja, jak mówiłem, że sam wymierzyni sprawdzić, wiecie, że naszą piłkę? powiedział Karol.

Co chcesz zrobić? pytał dalej Dawid.

Frank usiadł pod murem, jakby nie chciał się mieszać.

„Nie martwcie się, nie takiego. Po prostu trochę ja postraszyć” wyjął Karol.

Ciszej, bo nas usłyszysz. Franek zerwał się z ziemi.

No, a jak postraszymy? – zapytał szeptem Dawid.

Zalóżymy jej „pukawkę”. Mam tu kartofla i agrałkę, zaczepimy go na nie, i wbię agrałkę w futrynę przy szybie. Potem zakleję tę nękę i zobaczymy, co będzie. Tylko cicho i dobrze się schowajmy.

Nie zerwie się? – Zenek wypróbował nitkę.

Nie. Mocna jest.

Chłopcy schowali się, a Karol podkradł się pod okno. Przyczepił agrałkę. Potem dotknął palcem do usz na znak, aby byli cicho i ukrył się na ziemi pomiędzy kwitnącymi marzankami. Pociągnął do kłosa za sznurki – puszał, powtórzył czynność jeszcze dwa razy. Zamarł i czekał, co będzie. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Ledwie widzieli zarys okna, ale nasłuchowali. Karol co jak i czas ponawiał czynności. Za każdym razem mocniej pociągając za nitkę. Nagle w izbie zapłonęło nagle światło karkówek i lampy. Kobieta podeszła do okna. Przykryła twarz do szyby. Patrzyła w kierunku ogrodu, ale było na tyle ciemno, że sprawy mogły bezpiecznie siedzieć w swoich kryjówkach. Kiedy światło zgasło, chłopak z szelmowskim uśmiechem na twarzy zaczął stuknąć ponownie. Tym razem kobieta otworzyła okno.

Kto tam? Jest tam kto? – patrzyła przed siebie w ciemność nocny i tylko jej sylwetka oświetlona z tyłu słabym światłem wskazywała, że stoi w oknie.

Po dłuższej chwili przeczęgnęła się i odeszła. Przyniosła zapaloną świecę i usiadła na parapecie. Kleknęła i zaczęła się modlić półgłosem. Chłopcy poczuli się jakby zawstydzeni. Wycisli się po cichu. Przez chwilę szli w milczeniu.

Ale ja postraszyliśmy – powiedział bez wielkiego entuzjazmu Zenek, próbując wymusić uśmiech na twarzy.

Niech ma. Za naszą pękę – dodał Karol, ale chyba też myślał inaczej.

Pozostali milczeli.

Nadeszły jesienne skoty. Ciągłe padające deszcze sprawiły, że nierzadko alicie były prawie nie do przejścia. Idąc do brzozy i w ubiegłą św. Anny do chederu, trzeba było trzymać się blisko płotu i brania i burzy przemakały, a niedojrzałym, których nie było stać na porządne obuwie – woda chlapotała w trampach. I dzieci szybko opadły. Zrobiło się szaro i popuro.

Po szkole i spełnieniu obowiązków nakładzonych mu przez rodziców Dawid całymi godzinami czytał książki, lub przysłuchiwał się rozmowom, jakie toczyły się w zakładzie. Zastanawiał też na strychu i lubił obserwować stamtąd życie osady i rozmyślać.

Był to już dwaj, trzy tygodnie temu, pośród promieni jesiennego dnia, kolorowych liści, pośród codziennego gwaru, tętniło tu życie. Teraz kiedy zrobiło się zimno, zamarło (częściej niż ludzi, pośród szumiącego bezustannie deszczu, zobaczyć można było waleśnięte się psy i szczury wychodzące ze śmietników).

Siedząc na strychu, przy oknie, Dawid patrzył daleko przed siebie. Deszcz przestał na chwilę padać – jakby się rozjaśniło.

Siemek też budował swój kościół – pomyślał, gdy dostrzegł zarysy nowej, niedokończonej jeszcze budowli przy ulicy Żeromskiego. Tęte wspominał, że my będziemy budować swoją marowaną brzozę. Długo się buduje w tym Żerowie. Może kiedyś będzie to takie miasto, jak Łódź, o której opowiadał mu Franek. Albo dwa fabryki, i ludzi, i tramwaje. – Nagle dostrzegł Zenka, który skakał po Rynku, omijając kłuzę. Dawid zbiegł szybko po schodach i podał mu naprzeciw.

Gdzie idziesz? – krzyknął.

Chłopak podniósł głowę i zatrzymał się. Dopiero teraz zauważył kolegę.

Cześć! Do sklepu. Po nalię. Długo teraz jej idzie, bo wieczory długie. Chodź ze mną, pogadamy.

Do sklepu nie było daleko. U Abrahama Woła, przy Rynku, można było dostać wszelkiego rodzaju artykuły żelazne – gwinty, narzędzia budowlane i do ogrodu, druty, żarówki, kołki,

kludk, oraz naftę. Suda w metalowe, słuźtro we beczce z pompką i marką do jej sdmierzania. Przy naftie, faty, oświetlonego sklepu, zabazali trzech starszych od siebie chłopaków, znanych im z widze niu. Którzy głośno dyskutowali ze sprzedawcą, starym Żydem z pośoni i długą, przeczdzoną, siwiejącą brodą.

Chciałem te lepsze żarówki – usłyszeli rozmowę. – Takie żeby świeciły jak najlżej.

– Mnie wszystko zarówno dobry towar. Świecą jak dziesięć lamp na nafta, a długo tak

– A te tańsze są gorzej – chłopak przerwał przechwał. Żyd.

Nie gorzej, też dobry towar

– Eee – jak tańsze, to muszą być gorzej

Inna firma, inna. Te Daimond, a te droższe – firma Oramuk kupisz omy. Te jeszcze zabie / zom / Żyd wyszczęszł i wyszła z niego, żeby osmiecili się na rym. Sprzedawcy wykazyli ten towaru.

– Wezmę cztery. Te droższe.

Nie, wezmę jeszcze jedną dla pełnego rachunku – dodał Żyd, cagle się osmiec hając.

Nie, nie. Cztery

Sprzedawca sięgnął po war z polki i pokłół na ladzie.

Razem cztery złote i dwadzieścia groszy

Chłopak zaczął oglądać żarówki ze wszystkich stron.

Antek. Tyś pięćdziesiąt za cztery żarówki – wywrócił kłopot, starając się ukryć uśmiech na twarzy.

– Tak. Masz rację. Drogo. Chyba nie wezmę

A! A! Ja wezmę, niech mi świadkiem będzie. Nartanek w Żydowie sprzedaje. Żyd podniósł obie ręce i oczy ku niebu.

Wie pan co, panie. Do, pan jedną tą tańszą, a ja se ją sam osmiec – rzucił szybko. Antek zaczął się smuć, a z nim pozostał jego koleś.

Właściciel zaczął wygrażać im pięścią i wyzywać

A! Wa! A! Wa! Bandzian, rabusian, geje. Abyscie byli zapisani na żył rok

Chłopak nie słyszał złorzeczeń. Wybiegł ze sklepu i mijał Dawida w Żenku w chmurze z początku osmiec się. – I w Żenku był trochę głupi. Podeszł do sprzedawcy dopiero dłuższej chwili.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy przyszedł na niego. W Żenku Żyd schował pięćdziesiąt i natychmiast do przymusowej bandy.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. To starszy człowiek.

A jak on oszukuje, to dobrze? – zapytał się Żenek.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

– W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu. – W Żenku to tańsze – powiedział Dawid, kiedy wyszli ze sklepu.

Ja też długo nie wiedziałem, ale później okazało się, że to mały Chłoczew. Ryba go poknęła i później musiał wszystkie kachle w kuchni szorować, bo mój tata był w wojsku kucharzem, a później, piekarzem został i dlatego teraz mamy piekarnię.

Znowu teje zauważył Zenek. Nie ma ci, czas do domu. Zobaczymy się jutro.



*Rodzina Czapkiewska ze siostrami Przemysła Narutowicza w Żelowie*

Następnego dnia, po powrocie ze szkoły. Dawad od razu zapadł się norałmieniem laka. Ale patrzył tylko w książkę, nie mógł się skupić. Wspominał ciepłe dni, wakacje i kolegów. Z Frankiem widział się po raz ostatni kilka dni wcześniej. Spotkał go, jak zwykle, biegnącego do kościoła.

Cofnij się znowu, tak gonią?

Odrzynał wielką uroczystość, krzyknął chłopak. Muszę jeszcze coś ratować, i się przebrać... Nie mówię ci? Mam być w kościele na południe. Biskup Tyminiecki aż z Łodzi przyjechał. Będzie świętowanie!

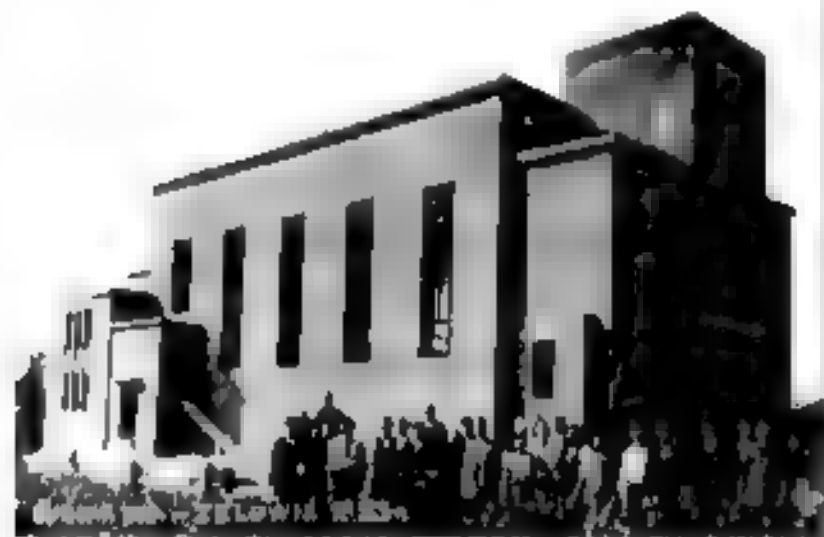


*Kościół rzymskokatolicki w Żelowie w 1933 r.*

Żelowski kościół rzymskokatolicki budowano od 1911 roku. Dzięki staraniom księdza Grodkiewicza oraz całej katolickiej społeczności Żelowa i okolic 4 listopada 1933 roku udało się oddać świątynię w stanie surowym. W celu zebrania funduszy na jej ukończenie organizowano festyny, majówki – głównie przy pomocy Żelowskiej Straży Ogniowej i Związku Rezerwistów Wojskowych. W tym czasie zbierano datki. Organizowano loterie fantowe i udziełano na lanty, co kto mógł: kary, kaczki, gołębie, przedmioty codziennego użytku, a zdarzyło się nawet, że na loterię wystawiono podarowaną przez pana Barteckiego, krowę.

Bogatsi chwytała oprócz fantów dawała pieniądze, a zwykli mieszkańcy gminy nieodpłatnie pomagali, pracując na budowie.

Brakowało jeszcze wieży i wyposażenia, ale nie brakowało chętnych, którzy dla chwały boga, i dla przyszłych pokoleń od dawali swoje siły i oszczędności.



Kościół rzymskokatolicki w Żelaznej w 1911 r.

Czas płynął szybko. Wkrótce spadł pierwszy śnieg. Radość dla dzieci – utracenie dla dorosłych. W wigilię Hoziego Narodzenia, po śniadaniu, Franek zastukał w szybę kuchennego okna mieszkanicy Berkowki, w Sani, która krzątała się w kuchni, aż podskoczyła ze strachu, a kiedy zobaczyła kolegę brata, pogroziła mu pięścią, uśmiechając się jednocześnie.

„Jest Dawid?” – spytał Franek.  
Kiwnęła głową. Potem wyszła.

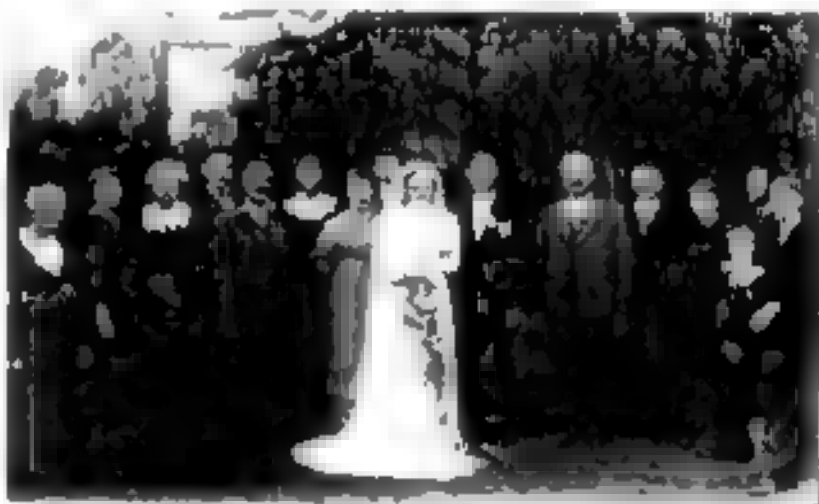
Po chwili na podwórzu pojawił się Dawid.  
„Idziesz ze mną na żywno?”

„Nie mam i nie umiem jeździć”.

„To nie. Popatrzmy do Zenka. U niego są dwie pary. W zeszłym roku zrobiliśmy samy zimbabskie?”

„Tak, takie kopytarki. Bierze się kawałek drewna, robi dziurę łoku na sznurki i jeszcze z przodu jedną, i z tyłu – na drugi naprzeciw jest z rączki od metalowego wiadra. Awantura była o to w ubiegłym roku. Dostałem trochę w skórę, bo popsułem wiadro, ale o to jaka była jazda”.

Chłopcy doszli do domu Pengów.



Wesele Pengów. Marię Frezantle – 1914. 1914 r. Po lewej: panna młoda – Karolina Peng – mąż: Jan Frezantle. Po prawej: panna młoda – Bolesława Frezantle. Po prawej na dole: Helena i Jan z bratem.

„Pierwie jest a śnieg w pieknie. Ale ruch tu dzisiaj – odsane”  
Kiedy wyjeżdżał wóz wyładowany po brzegi, widać było

koszulek pełnym świeżego pachnącego przypieczoną skórą.  
niezwykła.

W piekarni było ciepło i przytulnie. Zapach świeżo upieczonego chleba rozniósł się po całym pomieszczeniu. Na szerokim blacie piekarz zagnatal ciasto. Przewracał i gnął, podnosił i uderzał o blat, potem sywał mąką, żeby się nie przyklejało i powtarzał poprzednie czynności. Pomocnik piekarza wazył kawałki ciasta po dwa kilo każdy, formował na kształt bochenków, smarował kurzymi bułkiem i podawał do drugiego piekarza, który na długie łopaty wsuwał je do rozgrzanego pieca. Co chwilę zaglądał, sprawdzał poprzednie wazy. Wkrótce świeżo upieczone buchenki ułożył na metalowym blacie długiego stołu.

Zamek siedział na stołku, pod ścianą i odpoczywał.

A ty co tak pukałeś? <sup>1</sup> spytał Franek. Wstawaj, idźcie  
my na kwaterę.

Nie mogę. Mam dużo roboty. Świąta przebież.

— I'mię też zrykują, się mama i siostry. Ja tylko drzewko wozuję, od kukuły z lasu przynosiem. Już ubrane. Trochę zabawa, laniecuków, trochę świeczek Jezusa, jak opieką ciułka, to je kółka powier. Ona to najbardziej lubi choinka ubierać, uśmiechnąć się Franek.

Dziwięk ciem duzo roboty - odpowiedzial Zesiek. Dopiero co pomagalem ludzomwie przyzywac na woz, zeby rozwiezli do sklepów, a co chwile ludzom przychodzą przynoszą ciasto, zeby je w piecu upiec. Pilnuję, zeby kazda blacha byla podpisana, bo różnej kłóba się, która jest czysta.

- A chotnik je už smac je? - spytal French.

Po południu dziewczyny ubiorą. Teraz tam w kuchni szykują.

- Jak wszędzie Zdech mac hmał reko.

Nie wszędzie - wrócił Dawid.

No, tak. W'y nie magicznie. Nie wiemy, co tracisz

Michał Niedzwiedzki: Chyba nie

Wła swoje, my swoje. I tak bym się nie zamienił za makiełki i  
nudy. Prawda, Franek!"

— Pewnie! Takiego karpika, jak moja mama smaczy na masle, to niedługo nie ma. Albo takiej kapusty z grochem, albo zupy na suszonych grzybach, czy — raniam, palce liczę — z głodniakiem. No dobra, nie wiesz to dawaj tyżwy, kiedy indziej razem pojedzemy.

Zima była długa i mroźna. Śniegu napadało tak dużo, że chodząc się w Rybniku po ulicach, jakby korytarzami, a wtedy przyglądać wiosenne słońce. Zmuliły się także rzeki, że znowu nie można było przejść suchą nogą. Najgorzej było w bocznych, rzadziej oczyszczanych uliczkach i na drogach wiejskich. Tam prowadzono prace remontowe - kapano rowy odprowadzające nadmiar wody i remontowano nawierzchnie ulic. Mimo wielu problemów żyć w Żelaznej było się swoim rytmem. Każdy robił, co mógł, aby zapewnić swojej rodzinie podstawowe potrzeby.

Nie były to łatwe czasy. Kryzys nie dotknął co prawda osady, tak jak to miało miejsce w sąsiednich regionach, ale nie brakowało ludzi biednych, którzy często do garnka nie mieli co włożyć. Szukali więc zarobku, pracując od świta do nocy na ciężkich kopalniach, czasem wstawianych do jednej tylko posiadanej przez nich ziemi. Koczownicy byli wprawione do ciężkiej pracy, mimo to, bolący nierzadko plecy i nogi odmawiali posłuszeństwa. „Na chleb, na sól” powtarzali półgłosem chałupnicy wykonując jednorazowe lub raz prawą, raz lewą ręką. Nawet ci, którzy pracowali w lokalnych przedsiębiorstwach, nie zawsze mieli pełną zapłatę.

<sup>21</sup> *Pharmacokinetic parameters determined after intravenous and intramuscular administration*.

Ученые считают, что в течение жизни человек должен получить не менее 75 доз гриппа. В нем содержится 100% вакцинного материала, который не вызывает побочных эффектов. Вакцинация проводится бесплатно.



*Prince Bernhard and the Arctic Expeditions in Science 1937 and*

Bywali, że dostawali ją dopiero po sprzedaniu całego wyrobu kowanych przez nich materiałów albo wypłacano im część kwoty, a resztę mogli uzyskać w formie gotowego towaru w sklepie własności, u którego by i zatrudnieni. Ludzie szukali pracy, której nie było ani w mieście, ani na wsi. Zaczęło się, że domagali się jej i chleba, organizując demonstracje i wiece.

Pomoc dla głodujących bezrobotnych była niewielka, zaledwie ziemniaki do podziaku i niewielkie jak na potrzeby środki finansowe. Chodzili więc na służbę do bogatych gospodarzy za wyżywienie i ką do spania. Ży i jednak nadzieją, że będzie lepiej. Ży i ucieknie z pokorą dla Stwórcy. Ży i starają się wspólnie przezwyciężać przeciwności losu. Budowali koczowały. Rozwijali przemysł handlowy. Wspólnie uczyli się bawili się i obchodzili święta religijne i państwowe. Podtrzymując jednocześnie swoje tradycje, obrzędy świeckie i religijne.

## Bar Mitzva

Pod koniec roku szkolnego w chederze rozpierały się gorące przygotowania do uroczystości Bar Mitzwa. Ośmiu chłopów kończyło trzynasty rok życia. To odpowiedni wiek, aby przestrzegać przykazań i stać się pełnoprawnym członkiem wspólnoty. Przepisywali ich jeszcze, pouczali, a niedługo rozgłoszą za złą odpowiedź na pytanie belfra. Dawid nigdy nie miał problemów z nauką, czuł się więc przygotowany od strony posiadanej wiedzy i gotowy od strony duchowej do uczestniczenia w ważnych ceremoniach religijnych.

Stawiasz się jednemu z nich, ale jest to także showmerek stawiając cię przez całe życie – mówi nauczyciel, – Pamiętaj – nie tylko o nauce innych przedmiotów. Kto ma leć – ten musi skupić uwagę na szkole. Ten kępie doły – dodał swoje ulubione określenie.

Ważące w tym zakresie odprawiło nabożeństwo Arcebiszczyna i pokazał młodym ludziom ich prawa i obowiązki wobec Boga i wobec innych wyznawców religii mozożyzmowej.

Zwie królowi żydowskiej gminy to przede wszystkim zasady w nauce i jej realizacji i ich przestrzeganie - mówił. Dotyczy to zapewnienia czynkiem naszej społeczności koszerne żywności, odbywania modlitw, umożliwienia wypełniania przykazań i nakazanych zachowań. Każdy z chiłców po kolei przeczytał fragment Tory i wygłosił błogosławieństwo.

Przyjemności w domu Berkowiczów odbyło się radośnie i wesoło. Ze Straszewic i Szczecińska przyjechała rodzina Raków i Salomona. Wszyscy tamczyli śpiewa i Zachwalał przy-

המחבר מודה כי המחקר אינו מושלם, ויש בו מגבלות, אך הוא מאמין כי הממצאים שהוצגו כאן יסייעו להבנת תהליכי ההתאמה וההתפתחות של החברה הישראלית.

gotowane przez gospodynię potrawy i wypieki. Szczególnie specjalność panu domu – pieczoną gęś z farfelim i strudel i ciasteczka z suszonymi owocami. Dawid siedział przy stole na honorowym miejscu. Po raz pierwszy czuł się, jak ktoś dorosły i ważny. Rozumiał, że Bóg zawarł z ludem Izraela wieczyste przymierze, obiecując ochronę i pomoc w zamian za podporządkowanie się jego nakazom. Rozumiał, że stał się pełnoprawnym członkiem tej społeczności. Społeczności, która istnieje od kilku tysięcy lat.

\*\*\*

Życie rodziny Berkowiców nabierało już tempa. Przyzwyczaili się do nowego otoczenia. Poznali nowych sąsiadów, którzy w większości byli im przychylni i pozytywnie o nich mówili „to dobrzy ludzie” – można było usłyszeć. „Dobry człowiek z tego Salomona, uczciwy, można się z nim polargować i zna swój tach” – drągawa – mni. „Nie bierze tak drogo, a nawet opuszcza, jak wie, że bieda. Aż dziw, jak na Żyda”.

Także między pobratymcami Salomon zyskiwał z dnia na dzień.

– Spytałem go wczoraj o radę.

I co on na to?

Dał mi taką dobrą radę, że lepiej nie trzeba. To mądry człowiek, tym Salomon i jego Rachel. Tyż. Oby więcej takich w naszym kahal<sup>4</sup> było.

Mijał dzień za dniem. Niby podobne do siebie, ale każdy przynosił coś nowego, każdy z nich przynosił jakieś zmiany. Każdego dnia można było usłyszeć jakieś nowiny, plotki, ploteczki, w których zawsze można było znaleźć część prawdy.

<sup>4</sup> Kahal – forma organizacyjna społeczności żydowskiej, zgromadzenie, gmina.

1. Kłopotarni. To się narodziło, to znów w fabryce wypadek był, ktoś się wyprowadził, a komus zupa się przypaliła. Takie i inne wiadomości można było usłyszeć na podwórku, w sklepie – od sąsiadek w kamienicy. Osobą najlepiej obeznaną w tych sprawach była sąsiadka Berkowiców – Rywka. Kiedy weszła do Racheli, rozstała się w kuchni przy piecu – zaczęła głośno i szybko opowiadać.

Patrz Rachel, jakie te unc są. Przedali mnie dwa jajka nie ko szernie! Dwa! Na osim jaj. I nie tylko patrz, co by żydówkę czekała, to myślą, co już my takie głupie. A łech to gadal, że nawet jednego chłopa jeden goł namawiał, co by bez płot huczył i pokrzył kieżka u Abrama Uderbaum na si nie. Na ko szernie stoł! Patrz Rachel, jakie unc są. A cwo, Dawid, to tyż zganił przestaje.

Co Rachel nie wytrzymała.

A sąsiadce – co do tego, z kim przestaje. On ma takiego kolegę – jakiego sam wybiera. Widocznie on nie jest taki żyd, co go na osiela wybrał. Lepiej niech Rywka powie, co tam dzisiaj na osiadał i czy będzie ten ślub córki Świka, co to Rywka mówiła, że się ma do Moszka Rozenbluma.

A co me sie me. Zakochana po same uszy, he – partia dobra, i takowy on i gotówkę w banku ma. Wście będzie za niedługo. A wawc bacie tyż niczego sobie. A mo tam kogo?

A – si. Nie ma jeszcze, ale pewno to wy wiecie, bo pierwszy do tego jesteście.

Plotki przerwała głośna dyskusja na podwórku.

Aj! Waj! Aj! Waj! Taki pan, taki bogacz.

Grupa Żydów stojących za oknem narzekała, kłójąc się i wargając za ubranie.

Rachela otworzyła okno.

Co tam się dzieje? – spytała dwóch sąsiadek, które przyglądały się rajcom.

Jakub Lewi zmarł – odpowiedziała jedna z nich.

W zeszłym roku córkę żenił. Tyle ludzi zatrudniał w swojej fabryce, taki majątek, a nie wywinął się śmiejąc.

A no, pan! Na każdego z nas koniec przyjdzie – odpowiada druga.

Przeżegnany się i odeszły

Jednego dnia wesele, a drugiego żałoba. Takie jest życie – powiedziała Rachela, zamykając okno.

Dobre miał życie. Pracowity on był i bogacz. I szacunek miał i rodzinę – wymieniła Rywka.

Zamysliła się, a po chwili, patrząc daleko przed siebie dodała:

– Na, rodzina ważna jest.

Tak – tym razem Rachela zgodziła się ze zdaniem sąsiadki.

Trzeba pomóc w biedzie każdemu, a zwłaszcza rodzinie.

Ja sąsiadko pochodzę ze Szerzycowa. Tam jeszcze dwie moje siostry z dziećmi mieszkają i szwagier. Jeden, bo drugi zmarł. Długo chorował i chorobą jego zmogło. Moja matka i tate też już nie żyją. Siostry myślą do Żelowa, do nas, do swoich, tam im ciężko. Myślą, że tu łatwiej będzie. Zamysliła się, ale po chwili dodała: Siostry pójdą na dziewczurkę, poręczochy i skarpety zawsze potrzebne, a dzieciaki będą cucky<sup>4</sup> zbierały i nowąjały przepię. Szwagier jest szewcem, to u nas lepszy będzie miał interes. Już mój Salomon chodził i pytał, gdzie by tu jaki kąt dla nich i tak wychodzi, że u Glikmana, to niedaleko, na Kościuszki. On też szewc, ale już stary, to pomocnik ma się nada.

O Glikman? Rywka zastanowiła się chwilę. Ten koło „bulej szkoły”<sup>5</sup>.

Ten sam. Syna ma tylko jednego i same dziewczyny – odpowiedziała Rachela.

Tak, stary, ale chałupa sporą ma i niegorzej się jemu wie dzie. To, kiedy to sąsiadko one przyjadą?

<sup>4</sup> Cucky – przyłapano resztki przepię.

<sup>5</sup> „Bulej szkoły” – zwano tak od kościoła budynek, w którym funkcjonowała

Cicha pod zupę, jak mówili. Tu obgadane. Kiedy będą chcieli, to mogą.

Idę – Rywka wstała z krzesła i skierowała się w stronę drzwi.

Dzieciakom obiad emesze nagotować.

Idź Rywka, idź. Dzieci głodne pewnie. Rachela do sarnie namawiała sąsiadkę w nadziei na odrobinę spokoju w domu.

Po jej wyjściu do izby wróciła Sara.

Mame, mame! Już jestem.

Czy ty przepałaś? Zaraz obiad, a ty przyszedła i gada, i gada –

Ma? Ma? Ma?

Rywka! Ale już poszła dzieciom obiad gotować.

A! Nasza sąsiadka. Sio! przy schodach i z Wróblewską gada.

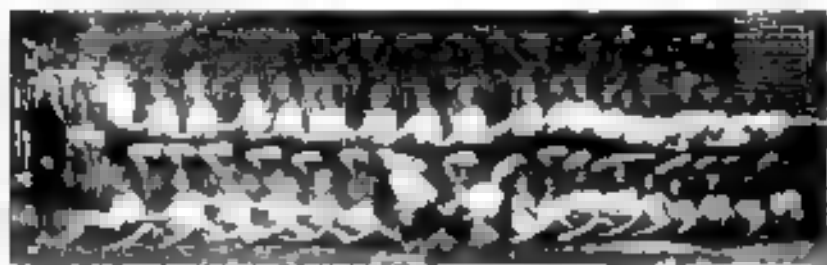
No, widzisz. Rachela uśmiechnęła się. Trafiła się jej drugo do słuchania. Tylko dzieci szkoda.

## Szkola

Ze względu na brak odpowiedniej do potrzeb szkoły placówki, Publiczna Szkoła Powszeczna nr 2 mieściła się w prywatnych domach. W budynku przy ulicy Kościuszki 85 – szkoła ta zwana była „czerwona” od czerwonej cegły, z której była zbudowana i w budynku przy ulicy Szkolnej 5 – zwana była szkołą „J. Jelenka”. Tam właśnie chodził Franek „Zurek”. W obu tych budynkach w godzinach popołudniowych uczyły się najmłodsze dzieci, a do południa końcowe roczniki Szkoły Powszecznej. Klasy III i IV miały zajęcia w domu, przy ulicy Zeromskiego „J. Sachaja”. Dzieci korzystały też z pomieszczeń domu, przy Kościuszki 84, gdzie był sekretariat szkoły i mieszkanie kierownika.

Wznowione uczęszczający do tej szkoły byli, wszystkich nacji zamieszkujących Żelów i okolice, a nauczyciele tam uczyący byli w wyznaniu katolickiego, ewangelicko-reformowanego, ewangelicko-augsburskiego oraz judaizmu.

Henryk Wyrzykiewicz, kierownik szkoły, dokładał wszelkich starań, aby móc stworzyć warunki do nauki. Stan finansowy gminy nie pozwalał jednak na zbyt wiele. Dlatego to to uczniowie organizowali, można było określić mianem „przywódców



John, 1974, 1975, 1976, 1977, 1978, 1979, 1980, 1981, 1982, 1983, 1984, 1985, 1986, 1987, 1988, 1989, 1990, 1991, 1992, 1993, 1994, 1995, 1996, 1997, 1998, 1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2005, 2006, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018, 2019, 2020, 2021, 2022, 2023, 2024, 2025, 2026, 2027, 2028, 2029, 2030, 2031, 2032, 2033, 2034, 2035, 2036, 2037, 2038, 2039, 2040, 2041, 2042, 2043, 2044, 2045, 2046, 2047, 2048, 2049, 2050, 2051, 2052, 2053, 2054, 2055, 2056, 2057, 2058, 2059, 2060, 2061, 2062, 2063, 2064, 2065, 2066, 2067, 2068, 2069, 2070, 2071, 2072, 2073, 2074, 2075, 2076, 2077, 2078, 2079, 2080, 2081, 2082, 2083, 2084, 2085, 2086, 2087, 2088, 2089, 2090, 2091, 2092, 2093, 2094, 2095, 2096, 2097, 2098, 2099, 2100, 2101, 2102, 2103, 2104, 2105, 2106, 2107, 2108, 2109, 2110, 2111, 2112, 2113, 2114, 2115, 2116, 2117, 2118, 2119, 2120, 2121, 2122, 2123, 2124, 2125, 2126, 2127, 2128, 2129, 2130, 2131, 2132, 2133, 2134, 2135, 2136, 2137, 2138, 2139, 2140, 2141, 2142, 2143, 2144, 2145, 2146, 2147, 2148, 2149, 2150, 2151, 2152, 2153, 2154, 2155, 2156, 2157, 2158, 2159, 2160, 2161, 2162, 2163, 2164, 2165, 2166, 2167, 2168, 2169, 2170, 2171, 2172, 2173, 2174, 2175, 2176, 2177, 2178, 2179, 2180, 2181, 2182, 2183, 2184, 2185, 2186, 2187, 2188, 2189, 2190, 2191, 2192, 2193, 2194, 2195, 2196, 2197, 2198, 2199, 2200, 2201, 2202, 2203, 2204, 2205, 2206, 2207, 2208, 2209, 2210, 2211, 2212, 2213, 2214, 2215, 2216, 2217, 2218, 2219, 2220, 2221, 2222, 2223, 2224, 2225, 2226, 2227, 2228, 2229, 2230, 2231, 2232, 2233, 2234, 2235, 2236, 2237, 2238, 2239, 2240, 2241, 2242, 2243, 2244, 2245, 2246, 2247, 2248, 2249, 2250, 2251, 2252, 2253, 2254, 2255, 2256, 2257, 2258, 2259, 2260, 2261, 2262, 2263, 2264, 2265, 2266, 2267, 2268, 2269, 2270, 2271, 2272, 2273, 2274, 2275, 2276, 2277, 2278, 2279, 2280, 2281, 2282, 2283, 2284, 2285, 2286, 2287, 2288, 2289, 2290, 2291, 2292, 2293, 2294, 2295, 2296, 2297, 2298, 2299, 2300, 2301, 2302, 2303, 2304, 2305, 2306, 2307, 2308, 2309, 2310, 2311, 2312, 2313, 2314, 2315, 2316, 2317, 2318, 2319, 2320, 2321, 2322, 2323, 2324, 2325, 2326, 2327, 2328, 2329, 2330, 2331, 2332, 2333, 2334, 2335, 2336, 2337, 2338, 2339, 2340, 2341, 2342, 2343, 2344, 2345, 2346, 2347, 2348, 2349, 2350, 2351, 2352, 2353, 2354, 2355, 2356, 2357, 2358, 2359, 2360, 2361, 2362, 2363, 2364, 2365, 2366, 2367, 2368, 2369, 2370, 2371, 2372, 2373, 2374, 2375, 2376, 2377, 2378, 2379, 2380, 2381, 2382, 2383, 2384, 2385, 2386, 2387, 2388, 2389, 2390, 2391, 2392, 2393, 2394, 2395, 2396, 2397, 2398, 2399, 2400, 2401, 2402, 2403, 2404, 2405, 2406, 2407, 2408, 2409, 2410, 2411, 2412, 2413, 2414, 2415, 2416, 2417, 2418, 2419, 2420, 2421, 2422, 2423, 2424, 2425, 2426, 2427, 2428, 2429, 2430, 2431, 2432, 2433, 2434, 2435, 2436, 2437, 2438, 2439, 2440, 2441, 2442, 2443, 2444, 2445, 2446, 2447, 2448, 2449, 2450, 2451, 2452, 2453, 2454, 2455, 2456, 2457, 2458, 2459, 2460, 2461, 2462, 2463, 2464, 2465, 2466, 2467, 2468, 2469, 2470, 2471, 2472, 2473, 2474, 2475, 2476, 2477, 2478, 2479, 2480, 2481, 2482, 2483, 2484, 2485, 2486, 2487, 2488, 2489, 2490, 2491, 2492, 2493, 2494, 2495, 2496, 2497, 2498, 2499, 2500, 2501, 2502, 2503, 2504, 2505, 2506, 2507, 2508, 2509, 2510, 2511, 2512, 2513, 2514, 2515, 2516, 2517, 2518, 2519, 2520, 2521, 2522, 2523, 2524, 2525, 2526, 2527, 2528, 2529, 2530, 2531, 2532, 2533, 2534, 2535, 2536, 2537, 2538, 2539, 2540, 2541, 2542, 2543, 2544, 2545, 2546, 2547, 2548, 2549, 2550, 2551, 2552, 2553, 2554, 2555, 2556, 2557, 2558, 2559, 2560, 2561, 2562, 2563, 2564, 2565, 2566, 2567, 2568, 2569, 2570, 2571, 2572, 2573, 2574, 2575, 2576, 2577, 2578, 2579, 2580, 2581, 2582, 2583, 2584, 2585, 2586, 2587, 2588, 2589, 2590, 2591, 2592, 2593, 2594, 2595, 2596, 2597, 2598, 2599, 2600, 2601, 2602, 2603, 2604, 2605, 2606, 2607, 2608, 2609, 2610, 2611, 2612, 2613, 2614, 2615, 2616, 2617, 2618, 2619, 2620, 2621, 2622, 2623, 2624, 2625, 2626, 2627, 2628, 2629, 2630, 2631, 2632, 2633, 2634, 2635, 2636, 2637, 2638, 2639, 2640, 2641, 2642, 2643, 2644, 2645, 2646, 2647, 2648, 2649, 2650, 2651, 2652, 2653, 2654, 2655,

Hię Honor Ojczyzna. Wielkie drukowane litery zawieszono w widocznym miejscu, wskazujące cele wychowania i nauczania w szkole. Wszystkie mówią, używają w języku polskim. Nauczanie poszczególnych przedmiotów odbywało się zgodnie z wytycznymi ustalonymi przez państwo polskie, a zakres rozpoznawano się wspólną modlitwą. Każdy na swój sposób mógł pomóc się do Boga.

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego  
Ducha Święty, który oświeca serca i umysły nasze, daj nam  
cierpliwy zdołność, aby ta nauka była dla nas przystępna do  
serca i wieczny. Przez Jezusa Chrystusa. Amen”

A po lekcjach wspólnie dziękowali Bogu.  
„Dzięk ci Boże, za światłość tej nauki. Pragniemy abyśmy  
nią oświeceni mogli się nazywać, zawsze Cię wielbić i wolać  
Twoją wypełniać” mówili głośno wszyscy uczniowie.  
„Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen” nie mówili  
Żydzi.

„Maryjo Królowo Polski módl się za nami” nie wypowiadał

...dzi, Czechy i Niemcy. Dzieci wyznania mojżeszowego i ewan-  
gelicznego nie czyniły także znaku krzyża.



001 001111 1 0011 10 0010001 10 101011 001111 1 0011 0010001  
 0011 10 0010001 10 101011 001111 1 0011 0010001  
 1 001111 1 0011 0010001 10 101011 001111 1 0011 0010001

Na początku roku wychowawcy zapowiedzieli, że nie będą tolerować żadnych form nieposłuszeństwa, a tych, którzy nie chcą się do ogólnie przestrzeganych zasad, spotykają odpowiednio karą jak: uderzanie drewnianym piórnikiem po ręce, kłucie nie no grzechot, czy wezwanie rodziców i wstąpienie na policję ze szkołą.

Franczek i Zenek chodzili do tej samej klasy. Siadali razem w ławce. Uczyli się dobrze. Tylko Franczek był lepszy z ćwiczeń matematycznych, a Zenek z arytmetyki i z geometrią. Języka czeskiego uczył ich pan profesor. W szkole uczył Zenka Jarosław Fibich, a w domu jego rodzice. W domu Zenek uczył się z podręcznika. W szkole uczył się z podręcznika i z notatki. W szkole uczył się z podręcznika i z notatki. W szkole uczył się z podręcznika i z notatki.

gały rodzicom w polu przy wykopkach lub w domu, przy krosnach. Wstawiały skoruśwa i nawijały przędzę na cewka. Tyle, żeby starczyło na cały dzień tkania. Sprzedawały na rynku kwiaty, warzywa, owoce. Do szkoły przychodziły dopiero po wykonaniu obowiązków, jakie miały do spełnienia.

Dawid poszedł do nowej szkoły, do szóstej klasy. Teraz częściej widywał się z przyjaciółmi. W porównaniu do poprzedniej szkoły, warunki nauczania były tu lepsze. Szerze grono pedagogiczne umożliwiało mu lepsze przyswajanie wiedzy. Polubił zwłaszcza panią Alinę Kuperwasser, która uczyła języka polskiego. Chętnie też brał udział w szkolnych przedstawieniach teatralnych, a ogólne wyniki jego pracy w pierwszym okresie uczęszczania do nowej szkoły były na tyle dobre, że postrzegano go, jako jednego z lepszych uczniów w szkole. Recytacja wiersza Juliana Tuwima - „Rzecz czarnaśka”, którą wygłosił w czasie uroczystości szkolnej, zachwyciła nie tylko polonistkę, ale całe grono pedagogiczne. Język polski był więc jego ulubionym przedmiotem.

Punktualnie o ósmej rano stary wózny z długimi awymi wąsami, w drugim fartuchu - okularach w rogowej oprawie oznajmił wiekiem, ręcznym dzwonkiem, że czas już do klas.

Biegi więc uczniowie aby zająć swoje miejsca. Siedząc się, hałasował - wywierał się Dawid siedział już w swojej ławce, ale panował jeszcze ogólny zamęt, krzyki i obrzucanie się kulkami z papieru. Kiedy nauczycielka weszła do klasy, zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

Dzień dobry, dzieci!

Dzień dobry, pani! - odpowiedziały chórem.

- Proszę wstać. Pomodmy się.

Rozbeżniała wspólna modlitwa. Następnie głos zabrala polonistka.

W związku ze zbliżającym się Świętem Zmarłych dzisiaj na lekcji omówimy fragment trenu Jana Kochanowskiego, rozpo-

czynający się od słów „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim, moja droga Orszulo, tym zniknięciem swoim!”

W tym momencie drzwi otworzyły się i do klasy wbiegło dwóch rozgadanych chłopców.

A co to znaczy? - spytała groźnie nauczycielka.

Chłopcy stanęli, jak wryci.

Przepraszamy - bąknął jeden z nich - myśleliśmy, że jeszcze jest przerwa.

Tak, będziecie mieć przerwę. Piętnaście minut pod tablicą. Na godzinę pomyślcie o ważnej encyclopedii, którą każdy człowiek powinien posiadać. Jaka to encyclopedia? - nauczycielka zwróciła się z tym pytaniem do całej klasy.

Punktualność proszę pani! - odpowiedzieli chórem dzieci, wstając doskonale, że pani Kuperwasser bardzo nie lubi, spóźniania się na zajęcia.

Nie lubiła też, żeby przeszkadzać jej w prowadzeniu lekcji, ale była ogólnie lubiana i szanowana za posiadaną wiedzę, którą potrafiła w prosty sposób przekazać oraz za równe i sprawiedliwe traktowanie wszystkich swoich podopiecznych. Często śmiała się i żartowała, a podczas wyjazdów na wycieczki była tą, którą dzieci wybierały na opiekunkę.

Tak więc odmówimy dzisiaj tren Jana z Czarnolasu - kontynuowała przerwana lekcję, ale kiedy drzwi otworzyły się ponownie przytłoczona spojrzała w stronę drzwi.

Do klasy weszła znacznych rozmiarów kobieta. Była niechlujnie ubrana i miała potargane włosy. Już od progu zaczęła mówić grubym, chrypliwym głosem.

Pani!

Wstucham - grzecznie odpowiedziała pani Kuperwasser.

Pani! Dominika dzisiaj nie przyjdzie, bo dostała szczyłki po pomidorach.

Klasa w śmiech, a nauczycielka starając się zachować powagę odpowiedziała:

Dziękuję za poinformowanie mnie o tym jakże ważnym wydarzeniu. Rozumiem, że chciała pani sprawiedliwie córce?

No – potwierdziła głośno matka chorej uczennicy – No, to nie już – dodała – wyszła.

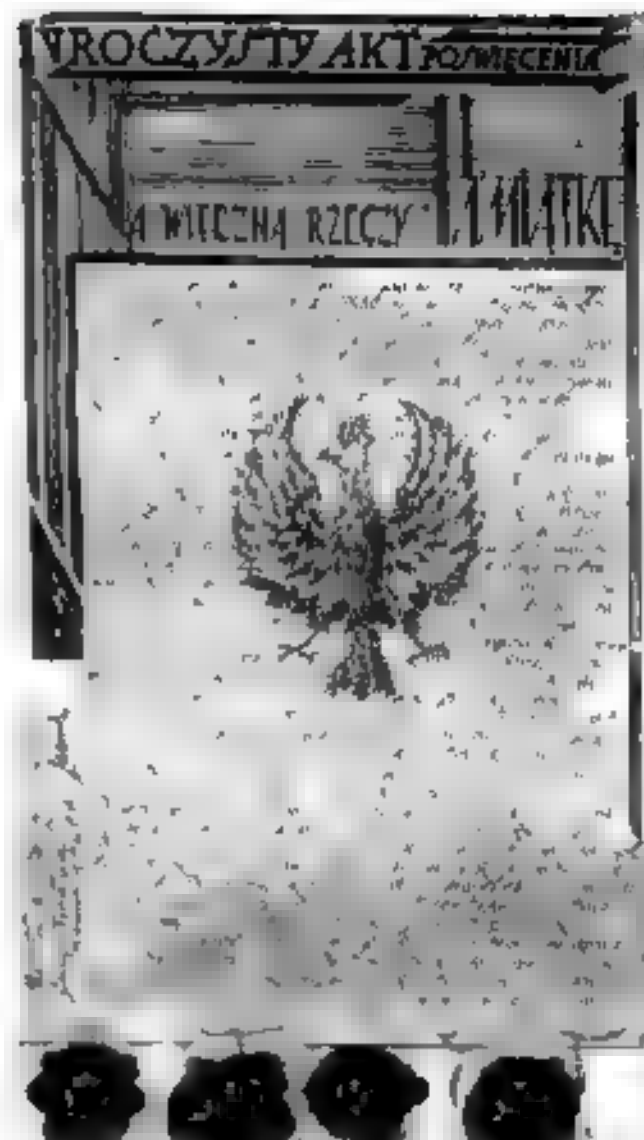
Starczy tego smutku – nauczycielka z uśmiechem na twarzy zwróciła się w stronę uczniów – Może teraz uda nam się zająć lekcją naszej lekcji.

Tym razem zajęcia przebiegły bez zakłóceń, a kiedy rozległ się dzwonek na pauzę, nauczycielka dodała:

Na zakończenie chciałabym przypomnieć, że od listopada będzie rozdawany trun, w związku z czym trzeba przynosić swoją tyłkę do szkoły. Na dzisiaj, koniec. Do widzenia.

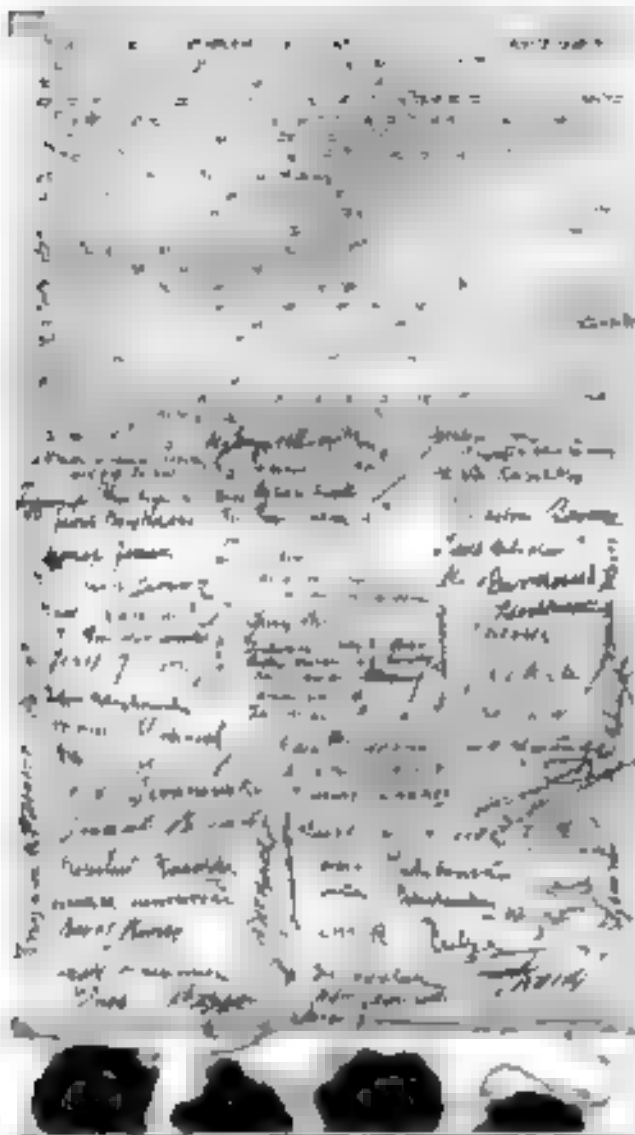
Na początku listopada, podczas apelu ogłoszono, że tuż przed Świętem Niepodległości wszystkie klasy pójdą na wycieczkę do zeliwskiej elektrowni oraz, że w tym dniu innych lekcji nie będzie. Wiadomość ta zwłaszcza je druga część, niezmiernie ucieszyła uczniów. W wyznaczonym terminie poszczególne klasy wraz ze swoimi opiekunami udały się na ulicę Poznańską. Po elektrowni oprowadził dzieci Edmund Leman i Władysław Rozpęski. Opowiedzieli im, jak to się dzieje, że żarówka świeci, a prąd płynie do ich mieszkań po drutach. Wyjaśnili, że dzięki elektrowni prąd dociera do fabryk, szkół, urzędów i instytucji. Pan Leman wspominał o postępie technicznym i przyszłości, w której, w każdym domu będzie światło i urządzenia na prąd.

Budowę zeliwskiej elektrowni i stojącej obok rzecznicy rozpoczęto 10 sierpnia 1930 roku. Kosztami gminy dla użytku publicznego kontynuował. Kamień węgielny wmurowano podczas wielkiej uroczystości, jaka odbyła się przy udziale nie tylko władz gminy Żelów, ale także przedstawicieli Starostwa Powiatowego, w Łasku oraz licznie zgromadzonych obywateli Żelowa i okolic.



akt poświęcenia przy budowie zeliwskiej rzecznicy i elektrowni





Alt podpisacznia pod budowlą zółwowej rzeki i elekrowni str 2

Zenek słuchał z otwartymi ustami. Po wyjściu z budynku, zwrócił się do Franka:

Mówiłem ci kiedyś – Ja to będę robił takie urządzenia, co właśnie na prąd będą. Wszystkie będą na prąd i zetażka, i prąd się będzie nie na tarcie, i światło będzie cały dzień. Taka mowa, że niedługo kupimy sobie radio i też oczywiście na prąd będzie.

Wolałbym rower niż radio i też sobie kiedyś kupię, jak zarobię to kupię – odpowiedział Frank.

Rozmowę chłopców przerwał wychowawca klasy pan Władysław Łukasiewicz – „człowiek bez nerw” jak o nim mówili.

Na jutro proszę wszystkich o napisanie krótkiego wypracowania na temat dzisiejszej wycieczki oraz opisanie swojej wizji przyszłości, co do rozwoju elektryfikacji.

Napięte takie wypracowanie, że powiedział Frankowi do ucha Zenek – Na piukę – dodał.

Nauczyciel wskazał jeszcze na budynek, stojący obok elekrowni.

Tego budynku nie będziemy zwiedzać, ale jak tu już jesteśmy, warto wspomnieć, że jest to bardzo nowoczesna rzecz.

„Tut, tu, tu” – dokończył udawany przez jednego z uczniów głos świni.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ale kiedy nauczyciel spojrział na nich, udając gniewną minę, natychmiast umilkli. Tymczasem pan Łukasiewicz mówił dalej.

Lech Kiełkowskie Wędliniarzy założono w Zakwie w 1920.

Wcześniej, jak już mówiłem, rzeczona, w której oni pracują.

Podzielona jest na dwie części. W tej części – wskazał na wejście od strony zachodniej – odbywa się zwykły ubój – przerób mięsa.

Drugą jej połowę przeznaczoną jest na ubój rytualny – ta część wykorzystywana jest przez Żydów. Uboj rytualny lub religijny, to

część religijnej tradycji judaistycznej. Wszyscy odbywa się tu według ściśle przestrzeganych reguł. Zwierzęta muszą być najpierw poławione kwi przy pomocy specjalnych noży odpowiednich do wielkości zwierzęcia. Nie mogą być wcześniej oghuszone.



Memoriał poświęcony ofiarom niemieckich prześladowań w miejscowości Żółta

Jakimś togi ludzie, którzy zdają specjalny egzamin i mają ze zwinie rabina. Nazywają się oni rzezakami. Mężczyźni posługujący się jest koszerne – nadeń się według tej religii do spżycia. I to drubiu dokonywany jest przy ulicy Kosciuszki, koto bożni-  
cy. Na pewno widzieliście, że jak się tam przechodzi, to nieraz  
widać, jak to robią na podwórku. To właśnie tyle

Czy są jakieś pytania

Żenek podniósł rękę

Słucham cię Żenku, O co chciałbyś spytać?

Bo ja, proszę pana, mieszkam tam naprzeciw – na Kosciusz-  
ki, to nieraz widzę, jak zabijają kurczaki, ale czasami, to oni wy-  
najmują sobie kogoś do tej roboty i to nie tylko Żydów. I oni nie-  
raz specjalnie tak tną nożem, żeby nie zabie za jednym cięciem, a  
wtedy to kurczak nie jest koszerne – ma go już sobie zabieć do  
domu, bo Żyd już go nie dotanie

To ewentualnie – dodał ktoś z grupy  
Kłosa znówu się rozśmiała. Nauczyciel także się uśmiechnął.  
Może czasem się tak zdarza, ale zasady są takie jak wam  
pewnie wiem. Jak nie ma więcej pytań, to rozchodzimy się do  
domów i do roboczenia jako w szkole



Żółta szkoła wyższa. Z prawej strony widoczna rampa dla zwierząt

\*\*\*

Dzień 17 maja 1915 roku był jednym z najsmutniejszych dni  
dla wielu milionów Polaków. Śmierć ukochanego Marszałka  
Józefa Piłsudskiego, który zakochał cały kraj. Odszedł  
wódcę Legionów Polskich, Naczelnik Państwa Polskiego, wspie-  
wiciel odzyskania przez Polskę niepodległości i bohater wojny  
polsko-rosyjskiej.

„Marszałku! To nieprawda, że ciebie już nie ma. to naprawdę, że leżyś już w grobie chociaż płacze dzisiaj cała polska ziemia, cała polska ziemia w żałobie. Choć two serce już więcej nie bije, choć opuścił już ciebie duch dziejny. w naszych sercach, jak żyłeś, tak żyjesz, ukochany wodzu nieśmiertelny...”

Tak brzmiały słowa piosenki, którą spiewano w szkołach podczas uroczystości związanych z tym tragicznym wydarzeniem. Każdy polski dom, każdy patriota, każde dziecko w szkole nosiło znak żałoby – chłopcy czarną opaskę na ramieniu, dziewczynki czarną wstążkę we włosach.

Koledzy wracali po szkolnej akademii do domu. Szli w milczeniu. W tym dniu nie było lekcji, ale nie cieszyli się z tego. Nastroj smutku, jaki panował w szkole i na ulicach przeżywał się do zadumy i refleksji. Dopiero po kilku minutach Frank nie wytrzymał i przerwał ciszę.

No! Czas wracać do rzeczywistości. Chłopaki! Na tę niedzielę ja i moi rodzice też, no – zapraszamy was na obiad do mamy do domu. Będzie koniec szkoły niedzugo i w ogóle.

– Co to znaczy w ogóle? – spytał Zenek.

W ogóle – to znaczy – Frank uśmiechnął się do siebie, nie wiedząc, jak wytłumaczyć o co mu chodzi. W ogóle – to cieszę się, że mam takich przyjaciół – wydusił z siebie.

Chłopcy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, bo nie spodziewali się takiego wyznania i chociaż czuli to samo, to jednak takie słowa z ust Franka? Nigdy nie był taki wylewny? Coś się za tym kryje.

Dziękujemy – odpowiedział grzecznie Dawid.

## Ł rodziny Franka

Zenek spotkał się z Dawidem w bramie kamienicy w której mieszkał Frank.

Byłeś już kiedyś u niego? – spytał Dawid.

W mieszkaniu? Z raz, czy dwa. Tamtych ma rodziców. Barczystych. Pan Ignacy jest majstrem na budowie – to rzadko jest w domu, ale pani Szkuclarkowa, to zawsze jakimś słodczym przekosztuje.

Szli po strumyńskich schodach, rozmawiając głośno.

No, tu jakby ktoś się poróżnił, to się na pewno polarne zauważył Dawid.

Tak. W sąsiedniej kamienicy to są jeszcze gorsze. Podobnie kiedyś taki starszy pan spadł tam i zabił się na śmierć.

Przedwie! Zenek zapukał do drzwi. Otworzył im Frank.

Do wchodzących podbiegły natychmiast jego siostry – Kryśka i Rozia.

Góście przyszli, mamo! Goście!

Cicho dziewczyny – bo wam uszy podbrywają – Frank zrobił przytulną minę, ale na maluchach nie sprawiło to na mniejszego wrażenia – rozbiegły się i krzyczały dalej.

Cicho dzieci – powiedziała pani Szkuclarkowa, wychodząc z kuchni – Nieładnie tak hałasować.

Mamo! Mamo! To Zenek i Dawid!

Dobrze, dobrze, ale proszę, uciszcie się Ignacy powieź im coś – pani Teresa poprosiła męża o pomoc.

Pan Szkuclarek – wysoki, barczysty mężczyzna wyszedł z pokoiu.

Proszę o spokój! Jest niedziela i mamy gości – powiedział spokojnym, ale stanowczym głosem.

Dzieci zamilkły i podbiegły do ojca.

Tato, tato! Pójdziemy później na lody?

Pójdziemy po obiedzie, a teraz myć ręce i siadać do stołu.

Na nareszcie trochę spokoju – odetchnęła z ulgą gospodyni.

Pani Teresa – jej najstarsza córka Kasia podawała do stołu i pilnowała, aby nikomu niczego nie brakowało. Obiad upłynął w miłej, serdecznej atmosferze. Rosół, młode kartonile ze szczyptką mięsem z kury oraz sałata z masłanką i ciasto drożdżowe, na deser.

Wapniały obiad – podziękował Dawid.

Tak – dodał Zenek – pakiem – zając pani Szkodlarkowa.

Dziękuję. Dziękuję. Cieszę się, że wam smakowało.

Rozmowa toczyła się o szkole, o wakacjach, aż zwała na temat pracy. Pan Ignacy powiedział kilka słów o szybkim upływającym czasie i przyszłości, która dla każdego z nas stanowi wielką niewiadomą. O tym, że kiedy on był w ich wieku, też nie chciał mu się myśleć o niczym innym, niż wakacje, ale teraz wie, że w życiu trzeba mieć dobry zawód, a dzięki ciężkiej pracy można wiele osiągnąć i zakochać rodzinę, a może nawet kupić samochód.

Po obiedzie pani Szkodlarkowa przyniosła ciasteczka.

Pozdróży kolegów. W końcu to twoje urodziny.

Wiedziałem! – krzyknął Zenek i pokiwał głową w czółko.

Wszystkiego najlepszego! – Dawid podał jubilatowi rękę.

Tak. Wszystkiego najlepszego! – Zenek przyłożył się do życzeń.

Wyjdźcie jeszcze marnie – powiedział Franek, wstając od stołu.

- Tylko nie wracaj późno. Jutro jeszcze szkoła.

Trzej przyjaciele wyszli na podwórze, na którym jak co dzień w tak ładną pogodę było gwarno i wesoło. Okrzyki dzieci bawiących się w piaskownicy mieszały się ze szczekaniem psów. W ciemności na ławeczkach siedzieli starsi mieszkańcy obu kamienic, rozmawiając o minionych i obecnych czasach. Tematem przewodnim była oczywiście polityka, ale nie brakowało też plotek i ploteczek o codziennym życiu sąsiadów. Chłopcy rozejrzeli się wokół.

To, co robimy? – spytał Dawid.

Przepraszam, że nie mamy dla ciebie prezentu. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że to na urodziny ten obiad – tłumaczył się Zenek – ale nie straconego. Coś wam pokazać – tylko wieczorem. I – będzie dopiero prezent. A teraz pójdźmy trochę, bo za chwilę się

Co i gdzie? – spytał Dawid.

Zobaczysz. Trochę cierpliwości.

Wychodząc z podwórka usłyszeli płacz dziecka. W kącie przy kominkach, w małym zakamarku, siedział przytulony do ściany, drżącymi nogami Bogus. Znał go dobrze. Mieszkał z nim w kumunie. Chłopiec urodził się z chorymi nogami – nie chodził. Przeważał się, podpierając z obydwu stron rękami, przebijając całe ciało do przodu. Nie mówił wyraźnie, ale można było się z nim porozumieć. Franek wielokrotnie pomagał mu, pokonywać trudności związane z wyjściem na podwórze i lubił malucha, który śmiał się z jego żartów i wygłupów.

Bogus! Co się stało? – Franek nachylił się nad płaczącym chłopcem.

Chłopak spojrzał w górę, a kiedy zobaczył znajomą twarz, przetarł oczami brudnymi rękami i pocugając nosem, powiedział:

Bo, bo... bo on mnie uderzył.

Kto cie uderzył?

Nie, nie. Jarek mnie uderzył. W głowę mnie uderzył, a... się przewróciłem, i uderzyłem się tu – pokazał rozciętą i zapuchniętą wargę. A... potem mnie ciędnął za włosy i tupał, żeby mi się wymosił, a ja chciałem patrzeć, jak dlań w piłkę.

Franek aż podskoczył ze zdenerwowania. Spojrzał na grupę chłopaków, grupujących nieco dalej w piłkę. Wyszukał wyrokiem Jarka, najstarszego chłopca w grupie i wystartował w jego kierunku tak szybko, że koledzy nie byli w stanie go powstrzymać. Dobiegł do niego i chwycił go oburącz za koszulkę. Potem przewrócił go na ziemię. Usiadł okrakiem na jego klatce piersiowej i mocno przycisnął.

Co ci odbilo? wyduśł z siebie zdementowany chłopak, próbując jednocześnie wydostać się z uścisku napastnika.

Wit się to w prawo, to w lewo, wierzgał nogami i podskakiwał, ale Franek trzymał mocno. Wokół nich natychmiast zgromadziła się świadkowie zajścia i dopingowali. Franek odczuwał się dopiero, gdy Janek po kilku nieudanych próbach wyswobodzenia się dał za wygraną i zasapany wrzasnął.

- O co ci chodzi? Co ci odbilo, gnoju?

Gnoju? wycedził przez zęby również zdyszany Franek. - Ja gno? To ty jesteś gnoj! I smierdzisz! Jak jeszcze raz uderzysz Bugusia, to mnie popamiętasz!

- Co czego się pączkę między nogami? Sam się przewrócił.

Tyś go popchnął! A jak nie pozwolisz mu paść jak gracie to ja na twoich zębach zagram!

Janek jeszcze raz spróbował wydostać się spod siedzącego na nim Franka. W końcu wyczerpany, ledwie łapiąc oddech, dodał.

Pecha nam przynosi!

Pecha? Franek odpowiadał pytaniem. Rzeczywiście nasz pecha, bo na mnie trąciłś. Pamiętaj, że nawet jak go komar ugryzie, to ty za to odpowiesz!

Odczep się!

Nie zrozumiales jeszcze? przycisnął mu skrzyżowane ręce pod szyję.

- Zro, Zro... zumialem wyduśł z siebie.

Franek powoli rozluźnił uścisk, pusił swoją ofiarę i wstał. Gromadka gapiów rozstąpiła się. Nagle Janek zerwał się z ziemi i rzucił się z tyłu na Franka.

- Ja ci jeszcze pokaże! krzyknął.

Obaj chłopcy ponownie znaleźli się na ziemi i zaczęli się bić. W uścisku. Po dłuższej chwili barowania się wstali i stali tak naprzeciw siebie, niczym dwa koguty gotowe do dalszej walki. Patrzyli sobie w oczy. Nagle Janek zamachnął się, aby uderzyć przeciwnika. Franek uchylił się i odpowiedział ciosem, uderzając prosto w nos napastnika. Uderzenie było trafne i bolesne.

Chłopak złapał się obiema rękami za twarz i odszedł na bok. Pośród jego palcami pojawiła się krew.

Koniec już! Koniec! Zenek podbiegł do Franka, odciągając go. Już na nauczkę powiedział.

Chlewi! zerkał na pokonanego, który w asyście kolegów stał oparty plecami o kolumnę. Cugle jeszcze trzymał się za twarz.

Nic mu nie będzie! dodał Zenek.

Dawid, który z małym Bogusiem obserwował bojkę z dalszej odległości podszedł do przyjaciół.

Fanus! Fanus! Nic ci nie jest? zatraskany Bogaś zhliznął się przewracając się na kolanach.

Ułapał Franka za nogi. Przyłożył głowę do jego kolan.

Tatam cie Flanet! wyszeptał.

Po tym zdarzeniu chłopcy włożyli się bez celu. Rozmawiali niewiele, ale wieczorem Franek przypominał sobie o obelgach kolegi.

Musisz nam coś pokazać!

No tak! To będzie nasz prezent na twoje urodziny. Tylko bez gadania! Róbcie, co mówię i macie być cicho!

Franek i Dawid przytaknęli, spoglądając z zaciekawieniem na przyjaciela. Szli dale ulicą Poznańską, starając skierować się w stronę domu Zenka. Przez i przez łąkę, na której pasły się krowy Pejgow, a wśród nich stary wysłużony „Cukier”, któremu nadano takie imię ze względu na to, że cukier mógł jeść w każdej krowie. Po prostu go uwielbiali. Weszli od strony powrózka na dach kotłowni. Zenek przyłożył palec do ust na znak, żeby było cicho. Położył się na brzuchu, później podczołgał się do końca dachu tak, żeby było widać sąsiednie podwórko. Przyjaciele zrobili to samo.

Na co czekamy? spytał szeptem Franek, kiedy rozglądał się wokół i nie dostrzegł nic ciekawego.

Cicho! również szeptem odpowiadał Zenek.

Powoli zapadł zmierzch. Leżeli tak i czekali, ogarniając się przed komarami, aż w oknie na poddaszu sąsiedniego domu



zabłysło światło. Do izby wszedła młoda dziewczyna. Postawiła na stoliku miskę z wodą i zaczęła się rozluźniać.

A nie zbyt dobrze widzę, chodząc tam blżej – szepnął Franek i zaczął przesuwając się w bok.

Cicho – syknął Zenek – bo nas usłyszysz.

Kto to? – spytał Dawid.

Bronka, służąca. Cicho bądź.

Franek jednak nie wytrzymał. Wstał, zaczął przechodzić daleko, nagle – i huśtał. Wziął się trząsk, skrzek, kur i Franek nie był już na korytarzu. W pierwszej chwili chłopcy przypuścili do siebie i zaniemnieli z przerażenia. I Franek w końcu zgasił światło.

„Kurczę” – Bronka podeszła do drzwi i otworzyła je. Wziła do ręki latarkę. W środku palowała ciemność. W końcu stanęła pod kurtkami, które leżały pod nimi. Zauważyła, że pod nimi znajdował się kurnik.

Franek? Franek? – Dawid starał się tak cicho jak mógł, żeby nie być słyszalnym. – Coś mu się pewnie stało – powiedział zniecierpliwiony.

Jednak po chwili dało się słyszeć ciche wołanie.

Chłopki! Wybiegnijcie mnie stąd!

– Nie, ci nie jest!

Chyba nie, ale chce stąd wyjść, a sam nie da rady.

Zenek próbował pomóc. Wyciągnął mu rękę, żeby go podtrzymać. Dawid usiadł mu na nogach, żeby go przytrzymać.

Łap się, bo nie nie widać – zawołał w ciemność.

Po kilku próbach w końcu przetrzymali go. Zenek usiadł i usiadł pod łop.

Czy jestem czymś upaprany? – spytał Franek, chwytając swoją rękę.

Koledzy zaczęli się śmiać.

Jak to, co to?

Tylko nie mówcie nikomu, bo da się śmiać. A tak – krew by się dowiedziała – nawet nie chce myśleć, jak to by było jawnie.

Zaczęła się przyszywać – to może by nie było – podpuszczał go Zenek.

Tak, akurat – to mam powiedzieć, że dał się zarwać i wpa-

do kurnika na jajo. Be chiałem go i jaja zobaczyć – ko-

mentem nie jeszcze bardzo, a z nim także podobnie wa-

Ale – kuku następnych. In Dawid Zenek dokucza trochę Franekowi, mówiąc zamiast cześć – „ko, ko, ko.”, ale były to – kuku – tylko przytyki, nie dowiedziawszy się o jego przyg-

18

## Wakacje

Uroczystość zakończenia roku szkolnego była krótka ze względu na to, że w tym roku nie było żadnych egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów.

W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów.

W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów.

W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów.

W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów. W szkole nie było żadnych egzaminów, a nauczyciele nie mieli czasu na przygotowanie się do egzaminów.

Będziemy po wsiach sprzedawać różne towary. Niedługo żniwa, to ludzie nie będą mieli czasu przyjeżdżać do sklepów.

Pomyśl nawet meczy. Chyba tale mu pozwoli?

Jasne, że pozwoli. Jak powiesz, że będziesz się uczył handlu to max. beton. A miał się Franek.

A za co kupow towar? pytał dalej Dawid, także się uśmiechając.

Mam trochę swoich pieniędzy, a resztę pożyczę od ojca. Przecież możemy wziąć z naszej piekarni, a jak rozkręcimy interes, to będziemy na trzy wózki jeździć. Zenek zataił ręce wdrząc w myślnich zarobione pieniądze.

Ale na bukowe też muszę. Tata jest przecież mistrzem mularskim i już m. zapowiedział, że ja też mam się tego zawodu uczyć, bo coraz więcej się murowanych domów buduje i robota pewna. A później muszę pomagać na wsi, przy żniwach.

No, to zaczniemy od jutra. Przez kilka dni. Tyle nam dadzą wulkiop. z optymizmem powiedział Zenek. /resztę spokajmy się wieczorem przy pomniku, albo jeszcze lepiej u nas, to pokażę wam ten wózek.

Chłopcy zasta i kolegę, kiedy wystawiał ze stodoły mały, drabiniasty wózek z dyszlem.

- Co? Dobry będzie? - spytał.

Jasne! Franek zaczął oglądać pojazd okiem fachowca, po czym usiadł w nim, jak hrabia w karocy.

- No, chłopaki! Wio!

Jeździli jak szaleni, wymieniając się co jakiś czas. Kiedy mieli już dość, usiedli zmęczeni w cieniu wielkiej, rozłożystej lipy.

No, to wszystko jasne. Spotykamy się rano, robimy zakupy i gdzie pojedziemy najpierw? Zenek próbował ustalić plan działania.

Dziwna, do Bujen. odpowiadał Franek. Babcią, albo ciocią na pewno coś kupią.

I co, będziemy tak od chłupy do chłupy chodzić?

Bez pracy nie ma kołaczy - wtrącił Dawid.

Ochlewał się ten, co tak ciężko pracuje - uśmiechnął się Franek.

A co! Myślisz, że my to już nie nie robimy? - zachnął się Dawid. Praca głowa, to też praca i jeszcze lepiej się opłaca.

Co? i jeszcze do tego pości. Franek wykrzywił usta, udając smutek.

Nie kłóćcie się! Razem mamy interes robić!

A zwracając się do Dawida, dodał:

Wiesz przecież, jaki on jest. Najpierw coś palić, a później pomysł.

Przepraszam... - Franek podał rękę koleźce.

Dawid odwzajemnił uścisk dłoni.

Następnego dnia rano trzech przyjaciół ciągnęło wózek wyładowany przeróżnymi towarami.

Tylko mydła i powidła tu brakuje - powiedział Franek, ocierając pot z czoła.

I tak wzięcie, bo już nie daję rady - dodał Dawid, uśmiechając.

Jak coś sprzedamy, będzie lepiej. Zenek był pełen optymizmu.

Kiedy przeszli pomiędzy pierwsze chłupy, rozdali się na całą garść.

Mydło i powidło! Mydło i powidło! Koledzy spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać.

A jak ktoś będzie chciał mydło? Przecież nie mamy.

I, właściwie, że to oznacza, że mamy wszystko inne, tylko nie to. Po prostu taka reklama.

Mydło i powidło... - krzyczał dalej.

Interes szedł na tyle dobrze, że już po trzech dniach zwrócili im wszystkie pieniądze zastawione w towar i jeszcze zostawało po 5 złotych dla każdego.

No, jeszcze ze dwa dni, bo w sobotę muszę być w piekarni, paniech zataił rękę.

Ja w Szabas też nie mogę - dodał Dawid.

Franek spojrzał na kolegów

Starczy nam na kino – na łądy i na – a może przejedziemy się do Łodzi? Naszym czerwonym autobusem. Z panem Łajkowskim. Pokażalbym wam Łódź. Byłem tam z tatą. Zabrałam się ciężarówką, jak wiozę towar z fabryki. Już wam kiedyś mówiłem. To jest dopiero miasto. Tam się dopiero buduje. Tam są domy wysokie – i tubryk – co tysiąc ludzi w takiej ma pracy. Mówcie wam! Tu jest miasto.

Wolałbym do kina. Jeszcze nie byłem w kinie – powiedział Dawid.

Na, dobrze. Teraz poszedł, ale nie grają nic ciekawego. Ja idę po niedzieli na budowę – a za tydzień, jak pogoda doprze, do dziadków na zniwa. Jak zbierzemy zboże, to zaproszę was na wieś. Już mi babcia mówiła, żebym z kolegami przyszedł. He, czemuż spać w stodole, popdziemy na ryki, ryb nalapiemy. Haj, nie bedzie.

Ciężka była praca na wsi. Ludzie w polu ciężko pracowali, siejąc, orząc, zbierając plony. Za pomocą w siewach i zbiorach na własnym polu, sili i pracowa – na odrobek. Za pożyczkę konia, spłacali przysługę w polu sierpem lub cepem w sąsiedku<sup>44</sup> lub na klepsku. Pomagali sobie nawzajem. /y/ w zgodzie i ogólnym wzajemnym poszanowaniu. / Bogiem na ustach – w sercach. Organizując święto plonów, dziękowali za zbiory podziwając uroczystej Maryi Świętej.

Plony były dobre tego roku. Zima, choć mroźna, nie zaszkodziła ziarninie – bo duża ilość śniegu przykryła pola, niczym pierzyna. Na wiosnę śnieg nawodnił pola, a słoneczne ciepłe lato spowodowało, że ziarno było grube i suche. Sady pełne dojrzewających owoców, a lasy pełne darów natury.

Szczęście Bóg na pracę – powiedział Zenek, kiedy wraz z Dawidem, zastali Franka zagrabiającego rzysko.

<sup>44</sup> Sędzieli – wydzierżawiać części stodoły, w której magazynuje się siano lub zboże.

Boć zapłać. No! W końcu jesteście!

Tak burdzo się za nami ściskałeś! – powiedział Dawid. Pewnie! Nareszcie trochę odpocznę. Tu jest co robić, a jeszcze – a czuję wszystkie kości od dźwigania cegieł i zaprawy. Tylko przy dno wytrzymałem. Tata powiedział, że jestem jeszcze za młody i nie każe mi dale – tak ciężko pracować. Od września – co – pomagać tylko przy cięższych pracach. Dziadkowie też mnie nie gonią. Miałem robić – dopoki nie przyjdziecie, a później, weseł wsiakają. Powiem wam, co wymyśliłem, tylko dokończę ten kawałek – wskazał ręką skrawek niezagrabanego jeszcze pola. Wzgłose, skoroś domu rozległo się radosne szczekanie Burka i głośne wołanie.

A gdzie wy tak chodziłście w taki gorący? W takich buciach!

Dziadek stał przy płocie i krzychał do staruszki, która powołała się od strony lasu. Chłopcy podbiegli do niego.

W taki upał, w takich zimowych buciach się wybrata? Zwrócił się do chłopców, – A opatulona, jak żmą.

– Em, ja prababcia. Ma już ponad 90 lat – wyjął się Franek. Tymczasem kobieta zhlizła się do nich.

A co martwisz się? – powiedziała do syna. Na bedkach<sup>45</sup> – tak.

– Nie widzę wam do głowy przyszyć, żeby jakie ciężkie filcowe buty na nogi zakładać i to w taki upał.

Staruszka zwróciła się w stronę chłopców.

Patrzcie chłopaki, un, by mi każeł w taki skwar takie ciężkie buty na plecach nosić. – uśmiechnęła się i poszła do domu.

Franek machnął ręką, a chłopcy uśmiechając się, wrócili na pole, aby dokończyć zgrabić.

No, nareszcie – Franek przeciągnął się i położył na granicy odłok kolegów.

<sup>45</sup> – buciuchy, buty.

Mów, co wymyśliłeś – powiedział Zenek. Aż się boimy, co ci znowu do łba strzeliło.

Sie boicie, to może nie mówić. Franek udał obrażonego. No, mów! Nie wygłupiaj się.

No, dobra. Wybierzemy w lesie jakieś miejsce. Wykopniemy w ziemi dużą dziurę, przykryjemy drewnem i zasypniemy ziemią, tak żeby nikt nie zauważył. Wejścia też będą ukryte. Takie korytarze porobimy. Wszystko tak urządzimy, żeby nikt nie mógł znaleźć.

– Świetny pomysł – zapalił się Zenek.

Ja, jako przyszły budowniczy, zapne się planem – kontynuował Franek.

– A po co nam to? – spytał Dawid bez entuzjazmu.

– No ten, to jak zwykle... – zdenerwował się Franek.

Powstrzymał się od dalszego komentarza i tylko ręką machnął, nie pochwili i dodał:

– No, jak to po co?

Bedziecie tam można ukryć. A przede wszystkim zbudujemy coś tam. Bedzie tylko nasze. Kuchnia? A na zame przyda się hober. Można tam bedzie warzywa przechować, albo nawet i ser mięso można kwasić, albo...

No dobrze już, dobrze rozumiem – przerwał Dawid, uśmiechając się.

Po nocy na świeżym, pachnącym sianie chłopcy wstali głodni i rozespani, ale po śniadaniu, składającym się ze świeżego chleba z masłem, serkiem i ciepłym miodem, spoglądali na świat bardzo optymistycznie i ochotnie zabrali się do realizacji nakreślonego poprzedniego dnia planu.

Starannie dobrane miejsce, na pagórku, pomiędzy starymi drzewami, zarosnięte chaszczami, było prawie niedostępne. Jedno wejście zaplanowali od strony rzeki, drugie pod konarami starego, przewróconego przez wiatr drzewa.

Dzisiaj tylko kopniemy. Jutro przykryjemy i całość ukryjemy – zarządził Franek.

Po kilku godzinach ciężkiej pracy byli zmęczeni i ubrudzeni, jak niebieskie stworzenia.

Dziś, na dzisiaj. Przecież nie będziemy cały dzień tak kopać. Nikt nas nie poci. Idziemy się kąpać. Zenek pierwszy rzucił kamień i jak śiał, tak skoczył do wody, a za nim koleś.

Pokażcie wam, jak się łapie ryby rękami – powiedział Franek.

Wiem, wiem. Dawid machnął ręką i u nas w Szczercowie też łapał, ale ja nigdy nie próbowałem.

Franek i Zenek stanęli po przeciwnych, zarosniętych szuwarami i przewróconych konarami drzew, brzegach rzeki. Zanurzyli obie ręce aż po barki w wodzie i zaczęli ją macać, mieszając z mulem i piachem. Potem, idąc wzdłuż brzegów, wkładali ręce do wody, starając się wyzwać atumanką brakiem widoczności rybę w jej kryjówkach.

Dawid? Wyjdź na brzeg, utnij siłownię i zbierz, ryby – poprosił kolegę Zenek.

– krzyknął Franek i rzucił duże okno prosto pod nogi Dawida, który szybko przekrzyknął słowo przez skrzela zdolności i już pierwsza, a po chwili druga, trzecia rybka wisiały w powietrzu nad słowem, niezmiennie chwytając, na sznurku.

Kiedy wracali do domu dziadków, słońce zachodziło już nad lasem.

Ala bedzie kolacja. Dziadek się ucieszy. Bardzo lubi ryby. I tak, chyba nie bedziecie tak ciężko, bo bedziecie je smażyć. Jutro rano podziemy na grzyby, a jak skończymy ziemiankę, to nalapiemy taków.

## Pierwsza praca

Ten czas dobiegł końca. Wszystko co dobre szybko się kończy – pomyślał Dawid, siedząc na strychu w swoim ulubionym miejscu i obserwując, co dzieje się dookoła. Przez okno wi-

dział, jak budują dom u Zenka, a przez świetlik – od strony Rynku przyglądał się, jak powstaje duży dom budowany przez Czechów. Widział także Franka, który jako pomocnik murarza przyuczał się do zawodu. Trochę mu zazdrościł, że już skończył szkołę, że wokół niego tyle się dzieje. On pewnie całą swoje życie spędzi przy maszynie do szycia, ale jak mówi jego tato – każdy ma swo- los od Boga przeznaczony. On będzie krawcem, a Frank murarzem. A Zenek? Któż to wie?

Frank pracował w puce czola i chociaż ze względu na swój młody wiek był raczej poręczny do robot typu przynieś, wynieś, pozamataj, to i tak wracał do domu bardzo zmęczony.

No to zrobimy przerwę na śniadanie – oznajmił pan Szkuclarek, który kierował ekipą murarzy i pomocników pracujących na budowie.

W przygotowanych wcześniej miskach z wodą obmyli twarde, zaprawione do ciężkiej pracy ręce i spocione ogorzałe od słońca twarze. Zasiedli, gdzie kto mógł. Wyciągnęli karnapki i banki z czarną, zbożową kawą i zabrali się do jedzenia.

Tanie miaster – oderwał się młody murarz Jozef Szymańczyk. Słyszał pan, że nasz zdobył Puchar Gordona Bennetta?

Tak. Czytałem w gazecie.

Dobry są – kontynuował Jozek. Już teraz na stałe go mają, bo trzeci rok z rzędu go wygrali.

Iż bym się przebiegał takim balonem – westchnął Frank.

Pierw, byś w portki nacił – wtrącił mowca z ustami pełnymi jedzenia, siedzący nieco dalej, starszy młodość Walentyn. Mężczyźni rozeszli się w głos.

Na pewno nie – obruszył się chłopak – nie boję się wysokości.

No, żartowałem. Sam bym miał pietra.

Taa. Kupimy sobie taki? – spytał Frank. Różnych ciekawych rzeczy można się dowiedzieć i o sporcie, i co się dzieje na świecie.

Tak – wtrącił Szymańczyk. Całkiem niedawno mówił, że na Ponożu, taki nasz zagłowiec, opłynął cały świat dookoła. A w sierpniu były audycje z Mistrzostw Świata i można było posłuchać, jak Własiwiczówna zrobiła rekord świata na 200 metrów. Ona to dopiero biega.

A kusociska, to nie? – wtrącił Walentyn.

Na też, ale ona to na krótkie dystanse, no i to kobieta.

A co kobieta, to gorsza? – spytał Szkuclarek.

Na – nie – Szymańczyk zaczerwienił się – ale, no, wie miaster, to kobieta.

Czyż, tato? Kupimy? Zenek już ma i w wielu domach jest.

Zobaczymy, co mama powie, ale po prawdzie – to by się przydało. No, chłopcy. Koniec gadania. Bierzemy się do roboty, niech tego głucha<sup>26</sup> i przechodzimy na sokolę.



*Szkola szkolę nr 1 w Zelazne – 1936 r.*

<sup>26</sup> „głucha” – zepsuta, nieczynna. W tym miejscu autor odwołuje się do murarza, który nie mógł sobie pozwolić na wyrażenie „budulec”.



## Propozycja

Dni były coraz krótsze, a praca przy maszynie przy słabym oświetleniu męczyła wzrok. Salomon coraz częściej zakładał okulary i coraz częściej robił przerwy, aby dać odpocząć zmęczonym oczom. Tego dnia pracował już od wielu godzin.

– Nu. Czas na odpoczynek – powiedział głośno do siebie.

Przeciagnął się i poszedł do kuchni.

– Może ci zrobić herbaty? – zapytała Rachel.

Usiadł przy stole.

– Tak. Chętnie się napiję i odpocznę ja sobie chwilę, albo... moja droga żono, ziołek mi naparz.

Rachel przegarnęła w piecu, postawiła czajnik z wodą do zagotowania i podeszła do balu.

– Pranie namoczyłam – zaczęła pocierać mokre ubrania o tarę.

– Cicho tu dzisiaj. Gdzie Dawid i Sara?

– Gdzieś wyszli. Dawid to wiesz, ciągle gdzieś lata, ale Sarcie rzadko wychodzi, a też powinna. Mało to się narobi w domu? We wszystkim mi pomaga.

Salomon nie posiedział długo.

– Koniec odpoczynku. Bez pracy nie ma kolaczy.

– Jak się ziola zaparzy, to ci zaniosę, ale mógłbyś trochę odpocząć.

– Co ja hym bez ciebie zrobił, moja ty droga żono? Kto by tak zadbał o mnie, jak ty? – uśmiechnął się i wyszedł.

Ledwie zasiadł do maszyny, a drzwi otworzyły się i weszło trzech mężczyzn w wysokich, żydowskich kapeluszach i długich zimowych płaszczach.

– Szalom Aleichem.

– Szalom – Salomon uklonił się nisko. – Proszę, proszę dostojnych gości – wskazał ręką stolki stojące przy ścianie, zapraszając do ich zajęcia. – Proszę zdjąć okrycia i siąść sobie wygodnie.

Czemu zawdzięczam wizytę tak szanownych gości? Jakże dobrze, czy nie dobrze wieści sprowadzają w moje skromne progi?

Mężczyźni w sile wieku, wytwornie ubrani, rozsiadli się wygodnie na wskazanych miejscach.

– Pan, panie Berkowie, mnie zna – odezwał się z wyglądu najmłodszy z nich.

– My jesteśmy w Radzie naszej żydowskiej gminy.

– Nu znam, pana panie Siwek – odpowiedział spokojnie Salomon, stojąc przed gośćmi.

– Mamy do pana ważną sprawę, ale proszę usiąść.



*Członkowie żydowskiej rady.*

Salomon posłusznie zajął wolne miejsce. Tymczasem głosabrał najstarszy Żyd, jedyny który miał wąsy, wydatną brodę i przysy.

– Panie Berkowic, przychodzimy z pewną propozycją. Propozycją, na którą odpowiedź nie musi być dana zaraz, a dopiero po poważnym zastanowieniu się.

Salomon nie domyślał się powodu wizyty, ale nie odpowiadał. Czekal na dalsze słowa.

– Członkowie Rady jednogłośnie proponują panu przystąpienie do nas w miejsce zmarłego niedawno Moszka Goldmana. Wybory za miesiąc. Mamy większość w naszej Radzie, więc zakładamy, że nie będzie z tym problemu.

Berkowic podrapał się w głowę.

– Taki zaszczyt, taki zaszczyt. Czy ja się nadaję panie Frydman?

Na pytanie Salomona odpowiedział milkzący do tej pory puczkwiaty na twarzy, ważący chyba ze 100 kg Symcha Satt, pełniący w żydowskiej gminie funkcję sekretarza.

– Mieszka pan tu między nami już dwa lata i zyskał pan sobie miano dobrego, uczciwego człowieka oraz przestrzegającego zasad naszej religii, kultury i obyczajów, Żyda. Nadaje się pan, panie Salomon.

– Nu, a w czym ja mógłbym pomóc?

– Ty Berkowic jesteś mądry Żyd, ty będziesz nam radził i zachęcał ludzi do realizacji naszych planów. Takich nam trzeba, co rozwiążą nasze problemy, a niemało ich, niemało w nasz kahal. I niemało ich ma cała gmina Żelów, z którą współpracujemy. Tych oto dwóch panów – to mówiąc, wskazał ręką na towarzyszy – jest członkami żelowskiej Rady. Problemów jest co nie miara – powtarzam. Choćby na ten przykład ostatnie strajki, czy budowa synagogi.

– Tak – wtrącił Icek Frydman. – Trzeba postawić dużą, marmurową synagogę. Ta jest za mała na nasze potrzeby. Do tej pory tylko się gadało, a słowa z wiatrem uciekały, czas od słów przejść do czynów. Katolicy postawili swój kościół, Niemcy też, Czesi budują duży parafialny dom, od 11 października buduje się przy

Kilińskiego Szkoła Powszechna. A my, co? Trzeba się brać do roboty i to już.

– No, a strajki też spędzają nam sen z powiek – ponownie głos zabral pan Satt. – Żelów na krosnach stoi, a tu kryzys na całym świecie. Brak zbytu, to brak gotówki, a co za tym idzie zaległe pensje, a więc i niezadowolenie pracowników. My rozumiemy i łkaczy w fabrykach i chałupników, i innych robotników. Za coś oni muszą wykarcić swoje rodziny, ale skąd my mamy na to brać...? Nie ma gdzie towaru sprzedać, a przecież i dla nas musi być zysk. Rajcheri na ten przykład, tak w ubiegłym roku, jak i teraz, znalazł sobie takich, co, mimo że mniej płacił, to przyszli do pracy. Ale zbuntowali się ludzie z innych zakładów i poszli na ośch z kijami. Aż policję musiał wzywać. Nawet strzelano w powietrze dla ostudzenia atmosfery. Teraz tylko chodzą i hasła noszą po mieście. Żądają podwyżek, chleba, a bezrobotni pracy, ale jak tu kogo zatrudnić, kiedy na wypłaty nie ma dla tych, co już pracują? A my, jako Rada, musimy tak robić, aby i pracownicy i pracodawcy byli zadowoleni.

– Nu. Ciężka sprawa – odrzekł Salomon. – Trudno jest tak zrobić, żeby był i wilk syty i owca cała.

Przez chwilę zrobiło się cicho.

– Zasiadzieliśmy się – powiedział Jasek Siwek. – Ty Salomon przemyśl naszą propozycję i daj nam jak najszybciej odpowiedź. Chyba, że już teraz możesz odpowiedzieć? – spojrzał pytająco w stronę gospodarza.

Salomon westchnął głęboko.

– Dziękuję panom za zaufanie. Wielki to zaszczyt dla mnie i mojej rodziny być w gronie tak dostojnym. Będę służył swoją radą, jak najlepiej potrafię. Jeśli tylko zagłosują na mnie, to macie moją zgodę.

– To dobrze, odpowiedział Frydman. – Mądrą podjąłeś decyzję, Salomon. Oby nad twoją rodziną i domem twoim czuwał Wszechmogący. Obyście byli zapisani na dobry rok – dodał przy pożegnaniu.



## Wyznanie Racheli

Dawid powtarzał algebrę, siedząc przy oknie w zakładzie ojca. Już tylko pół roku i koniec szkoły. Postanowił, że musi już teraz wziąć się do nauki, aby cenzura była odpowiednia. Z polskim nie miał problemów, tylko te cyferki, dzielenia, mnożenia, ułamki – nie wchodziły mu do głowy. „Jakoś to będzie – pomyślał o końcowym egzaminie. Przecież z innymi przedmiotami spokojnie dam sobie radę, a tego jeszcze zdążyć się nauczyć, mam jeszcze dużo czasu” – złożył książki i przez wymalowane mrozem okno zaczął obserwować niebo.

Białe, kłębiaste chmury stały wysoko na niebie. Pomiedzy nimi prześlizgiwały się raz po raz promienie zimowego słońca. Przypominał sobie wakacje: „Putyki”, kąpiel z kolegami w Pilsu. „Te nadechodzące będą już ostatnimi, a co dalej? Pewnie zostanie krawcem, jak tata”.

Ojciec siedział pochylony nad maszyną do szycia.

„Czy tak będzie wyglądało moje życie?” – zamyslił się.

– Tata. Kończę szkołę w tym roku.

– Wiem – odparł ojciec, nie odrywając się od pracy.

– Ale, co dalej tata?

Ojciec odwrócił się i spojrzał na syna.

– Posłuchaj ty mnie uważnie. Przychodzi taki czas w życiu każdego człowieka, że trzeba pomyśleć o przyszłości. Trzeba zacząć podejmować decyzje, które będą miały wpływ nie tylko na twoją przyszłość, ale i na innych, bliskich ci ludzi. Niedługo ty będziesz dorosły, będziesz ty miał swoją rodzinę, ale tę rodzinę trzeba będzie wyżywić i ubrać, i dzieci na nauki posłać. Nu, a kim ty chciałbyś być? Co ty synu chciałbyś robić w swoim życiu?

– Ja to bym chciał książki pisać, jak pan Tuwim, albo Sienkiewicz, czy Reymont.

– O! To wiele ludzie są. Sława – dobra rzecz, ale rodziny to ty z tego pisania nie wyżywisz.

– No, to chyba krawcem będę, jak ty, tata.

– Jak ja, mówisz. Tak siedaj i szuj.

– Dzisiaj? Teraz? Nie umiem przecież.

– Tak i właśnie. Najpierw skończ naukę w szkole, a potem ja nauczę ciebie krawiectwa. A jak będziesz miał czas na pisanie, to pisz. Nie rezygnuj ze swoich marzeń.

W tej chwili do izby wszedł Rachel.

– Chciałam porozmawiać z twoim tatą. Idź i przynieś drewna i torfu.

Dawid posłusznie wyszedł. Rachel podsunęła stół bliżej mebla i usiadła przed nim twarzą w twarz.

– Rozmawialiśmy o przyszłości – powiedział Salomon.

Rachel nie odpowiedziała, tylko uśmiechała się tajemniczo.

– Nu, o co chodzi? – zrozumiał, że żona chce mu powiedzieć coś bardzo ważnego.

Złapał ją za rękę i czekał na odpowiedź.

– Będiesz ojcem – usłyszał spokojny głos kobiety.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Przecież przez 15 lat Pan Bóg nie pobłogosławił – powiedział z niedowierzaniem Salomon.

Małżonka uściśnęła mu dłoń.

– A teraz pobłogosławił – odparła.

Pocałował żonę w czoło i wznosił ręce ku niebu.

– Chwała niech będzie Najwyższemu! Trzeba powiedzieć dzieckom...

## Trudny okres

Na prawdziwą, ciepłą wiosnę 1936 roku trzeba było długo czekać. Śniegi i mrozy trzymały jeszcze w kwietniu i wszyscy ludzie i zwierzęta, mieli serdecznie dość zimy. Wiele ludzi głodowało. Jedli przegniłe ziemniaki i wyszukane na śmietnikach smutki wyrzucane z bogatszych domostw. Nie orali i nie siali, bo w polach stała woda. Biedni i chorzy zebrali przed kościołem.

Chodzili po prośbie od domu – do domu za pracą i kawałkiem chleba. W fabrykach hutowali się robotnicy, zadając lepszych płac. Urządzali marsze i strajki.



*Marsz w Rydku*



*Narcyza Luczyńska i inż. Edmund Ułman na balu dobroczynnym PCK – 1934/1935 r. Robótki ręczne na cele dobroczynne przy świetlicy zboru kościoła ewangelicko-reformowanego*

Trudny to był okres i w mieście, i na wsi. Opieka Społeczna i lekownicy lekarze wołali o pomoc do gminy. Ta pomagała na tyle, na ile było ją stać i prosiła o pomoc Powiat Łaski i wojewodę łódzkiego. Polski Czerwony Krzyż oddział w Żelowie, na czele z doktorem Włodzimierzem Luczyńskim, organizował bale charytatywne i loterie fantowe, na których kobiety sprzedawały wykonane własnoręcznie obrusy i serwety. W kościołach zaczęto odprawiać msze święte w intencji chorych i głodujących. Bogatsi obywatele organizowali zbiórki odzieży i jedzenia, aby wspomóc potrzebujących. Mimo to, wielu było chorych. Brak należytej higieny i niedostatek pożywienia sprawiły, że zmarło wielu ludzi, wielu też chorowaki, zwłaszcza starszych i dzieci.



*Szpital Chorych Zakaźnych w Żelowie*